

Charles Tritten
Heidi dorasta

Tom

Całość w tomach

Zakład Nagrań i Wydawnictw

Związku Niewidomych

Warszawa 1995

Przekład: Joanna Kazimierczyk

Tłoczono pismem punktowym

3 3 64 0 0 108 1 ff 1 74 1
w Drukarni Zakładu Nagrań

i Wydawnictw Związku
Niewidomych.

Przedruk z wydawnictwa:

"Novus Orbis", Gdańsk 1992.

Pisała K. Kruk

Korekty dokonały

B. Krajewska

i K. Pabian

`tt

I. Szkoła w Rosiaz

Rozdział I

Szkoła w Rosiaz

Pewnego wieczoru, około
godziny dziewiątej, na dworcu w
Lozannie wysiadła z pociągu

drobna, nieśmiało wyglądająca dziewczynka. Przystanęła na chwilę i rozejrzała się dokoła oszołomiona. U jej stóp stała walizka i zwinięty w rulon pled, a pod pachą trzymała futerał ze skrzypcami. Heidi - bo tak miała na imię - przyjechała z małej wioski Dorfli położonej wysoko w Alpach.

Mieszkał tam w starym domu jej dziadek wraz z doktorem. Obaj pragnęli, aby Heidi zakończyła edukację w dobrej szkole.

Została więc wysłana - kosztem wielkich wyrzeczeń - na modną pensję, którą ukończyła właśnie jej przyjaciółka Klara.

Podróżowały dotąd razem i gdy pociąg jeszcze sapał i dyszał parą, Klara wychyliła się z okna i uśmiechnęła. Była tak świetnie zorientowana w szkolnych sprawach, że Heidi gorąco pragnęła, aby przyjaciółka pozostała z nią jeszcze jeden semestr. Być może starsza dziewczynka odgadła te myśli, bo ze wszystkich sił starała się być pogodna i mówiła tak głośno, by zagłuszyć hałas lokomotywy.

- Zobaczysz, że będzie tam bardzo wesoło! - wołała

radośnie. - Lekcje tańca i różne inne rzeczy. Ciekawa jestem, czy będzie cię uczył Monsieur Lenoir, niezwykle elegancki i uprzejmy. "Lekko, moje panienki, lekko i z wdziękiem" - tak zawsze do nas mówił. "Lekko i z wdziękiem" - powtórzyła. - Heidi, nie masz pojęcia, jak mi było przyjemnie tańczyć lekko i z wdziękiem. Ty nie musiałaś tego się uczyć - dodała. - Ty zawsze tańczyłaś.

- Ale nie zawsze grałam na skrzypcach - odrzekła Heidi.

- Będziesz uwielbiać Monsieur Rochata - ciągnęła Klara z entuzjazmem. Pod pewnym względem przypomina doktora, pod innym zaś dziadka. Ma takie same krzaczaste brwi.

Heidi aż podskoczyła z radości i oczami wyobraźni ujrzała nauczyciela muzyki.

- Mademoiselle Raymond też jest bardzo miła - mówiła dalej Klara. - Zresztą w szkole wszyscy są mili, chociaż niektóre osoby mogą na początku wydać ci się bardzo surowe. No i nie zapomnij pozdrowić ode mnie

Mademoiselle Larbey!

W tej chwili zauważyła
spieszącą w ich stronę wysoką i
bardzo z angielska wyglądającą
kobietę.

- Ach, Miss Smith! - zawołała,
gdy nauczycielka podeszła. -
Dobry wieczór. Jak się pani
miewa? Oto moja przyjaciółka
Heidi. Jak pani widzi, czuje się
trochę nieswojo, ale to tylko
tak na początku. Przyjechała aż
z Dorfli, która jest jeszcze za
Mayenfeld. Och, pociąg już
rusza! - krzyknęła, gdy wagon
szarpnął z nienacką. - Do
widzenia, Heidi! Napisz do mnie
niebawem. Do widzenia! Do
widzenia!

Miss Smith machała
urękawiczoną dłonią, dopóki
pociąg nie znikł im z oczu.
Heidi stała nieruchomo, mocno
przyciskając skrzypce. Gdy
odjechała Klara - ostatnia więź
z domem - poczuła się samotna i
opuszczona.

Angielka zwróciła się do niej.

- A więc jesteś tą nową
uczennicą, przyjaciółką Klary.

Bardzo często opowiadała o tobie i twoim dziadku, a także o Piotрку - Koźlarzu i doktorze, który przyjechał z Frankfurtu, by zamieszkać w Dorfli. To musi być ładna wioska.

- To jest mój dom - odrzekła Heidi z prostotą.

- Wkrótce szkoła stanie się twoim domem - zapewniła nauczycielka. - Wszystkie nasze dziewczynki są bardzo zadowolone. Lekcje nie sprawiają ci trudności. Czy mówisz trochę po francusku?

- W Dorfli nie uczą francuskiego - odpowiedziała Heidi. - Ale doktor dawał mi lekcje w domu.

- Doskonale! Na pewno sobie poradzisz.

Miss Smith skierowała się do wyjścia, za nią ruszył bagażowy z rzeczami Heidi.

- Pojedziemy dorożką. Szkoła znajduje się w Rosiaz, niedaleko Lozanny, ale zapewne wiesz o tym od Klary.

- Oui, Mademoiselle - odrzekła uprzejmie Heidi przekonana, że od tej chwili powinna mówić po francusku.

- Ja jestem Miss Smith i tak się musisz do mnie zwracać - wyjaśniła nauczycielka. - Postaraj się wymawiać th w Smith, umieszczając język między zębami. Uczennice mają irytującą manierę nazywania mnie "Miss Miss", ponieważ nie chcą sobie zadawać trudu, by wymawiać prawidłowo moje nazwisko. Mówiąc to, pomogła Heidi wejść do dorożki i usiadła obok niej.

Kiedy jechały drogą, zielone pola przypomniały Heidi zielen alpejskich zboczy i dziadka, samotnego w chacie pośród jodeł. Pocieszała się myślą, że nie pozostanie on długo w górach. Gdy spadnie śnieg, zejdzie jak zwykle w dolinę i zamieszka z doktorem w Dorfli. Ten niegdyś zgorzkniały Halny Stryjek, stał się teraz drogi sercom swych sąsiadów, po tym jak troskliwie zaopiekował się sierotą. Jako małe dziecko, Heidi została dosłownie podrzucona dziadkowi przez ciotkę Detę, kiedy tej trafiła się dobra posada i

uznała, że opieka nad dzieckiem siostry to zbyt wielki kłopot. Heidi na chrzcie otrzymała po matce imię Adelajda, ale nikomu nigdy nie przyszło do głowy, żeby ją tak nazywać. Wyjątkiem była panna Rottenmeier, w czasie gdy dziewczynka mieszkała u Klary we Frankfurcie. Teraz miała nadzieję, że nikt z nauczycieli w Rosiaz nie będzie do niej podobny. Miss Smith była zdecydowanie inna; starała się być miła i rozmowna. Heidi siedziała w kącie dorożki, słuchając tylko jednym uchem słów nauczycielki. Ta zaś przeskakiwała z tematu na temat w błyskawicznym tempie. Jej przodkowie... jeden chyba pochodził z Mediolanu... Mademoiselle... dyrektorka - tak dobra, lecz surowa... Klara... Mops... nieprzerwany potok pocziwej gadaniny, który całkowicie oszołomił biedną Heidi.

- Mops tak lubi się pieścić, Mademoiselle bardzo go polubi. Nigdy jeszcze nikogo nie ugryzł - zakończyła Miss Smith nieoczekiwanie akurat wtedy, gdy Heidi zaczęła myśleć, że "Mops" to raczej dziwne nazwisko jak na

profesora.

- Och, to jest kot! - zawołała i uśmiech zrozumienia rozjaśnił jej buzię. - Tak się cieszę, że jest tam kot! U Klary miałyśmy kocięta.

Wreszcie dojechały do szkoły "Pod Głogami" i Heidi, wciąż oszołomiona długą podróżą, gadatliwością Miss Smith i obcością otoczenia, znalazła się w obszernym salonie, gdzie powitała ją bardzo dostojna dama w wieku około pięćdziesięciu lat.

Mimo surowego wyglądu dama przemówiła ciepło i życzliwie.

- Witaj w szkole "Pod Głogami" Heidi. Bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu do nas. Mam nadzieję, że miałaś przyjemną podróż i że będziemy mieć z ciebie tyleż pociechy co z Klary. Czy jesteś głodna? Louise, наша kucharka, przygotowała trochę zimnego mięsa i owoce. A co tam trzymasz pod pachą? Ach, to skrzypce. Twój dziadek pisał mi, że uczyłaś się grać. Zdaje się, że to go bardzo cieszyło. Teraz

będziesz pod dobrą opieką na lekcjach muzyki.

Dama zwróciła się do angielskiej nauczycielki. - Miss Smith proszę zaprowadzić Heidi do jej pokoju i sprawdzić, czy ma wszystkie niezbędne rzeczy. Dobranoc, Heidi. Śpij dobrze. Dzwonek obudzi was o siódmej.

- Dobranoc - powiedziała posłusznie Heidi.

- Powinnaś powiedzieć: "dobranoc Mademoiselle" - poprawiła ją natychmiast dyrektorka.

Heidi powiodła wzrokiem od jednej obcej twarzy do drugiej. Miss - do nauczycielki angielskiego, Mademoiselle - do dyrektorki! A w domu uczono ją, że do dyrektorki mówi się Fraulein. Czy kiedyś potrafi się w tym wszystkim połapać?

Zmieszana i zmęczona, podążyła za Miss Smith przez długi hall. Sypialnia, którą miała dzielić z Angielką Eileen, znajdowała się na drugim piętrze. Mijane pokoje były zamknięte i panowała w nich cisza. Zdawało się, że wszyscy

już śpią.

- Idź ostrożnie, żeby nie zbudzić dziewcząt. Swoje rzeczy możesz rozpakować jutro. A teraz chodźmy do jadalni.

- Dziękuję, nie jestem głodna
- powiedziała Heidi.

- Zjesz mięso i owoce, tak jak to poleciła dyrektorka - oświadczyła stanowczo Miss Smith.

Kiedy Heidi skończyła kolację, poszły na górę do sypialni. Heidi rozejrzała się wokoło i w półmroku zobaczyła dwa drewniane łóżka, dwie umywalki, dwie szafy, jeden stół, dwa krzesła - wszystko lśniące bielą. Pokój wydawał się przytulny i wygodny. Lecz gdy tylko zamknęły się drzwi za Miss Smith, Heidi poczuła, że ogarnia ją fala tęsknoty za domem. Mimo całej odwagi w oczach dziewczynki zalśniły łzy. Podeszła do okna i ostrożnie otworzyła okiennice.

- Och! - wykrzyknęła impulsywnie. - Jezioro! Góry!

Wszystko było pogrążone w

spokoju, w takim spokoju, że
przypominało jej rodzinne
strony. Okrągły księżyc toczył
się po niebie i pozostawiał
złocistą ścieżkę na wodzie.
Heidi otarła oczy. Już pokochała
to jezioro i czuła się
pokrzepiona jego widokiem.

Drzwi otworzyły się niemal
bezszelestnie i do pokoju
zajrzało sześć ciekawych główek.

- Wejdźcie, jestem Heidi -
powiedziała szeptem. - Jak się
nazywacie?

Cała szóstka, stąpając na
palcach weszła do środka i
ciemnowłosa dziewczynka wysunęła
się do przodu, by przedstawić
pozostałe.

- To jest Ewa Müller z
Hamburga - wskazała jasnowłosą
Niemkę. - Jest najwyższa z nas i
dlatego wszystkie ją poważamy.
Słowa te wypowiedziała z
komicznym grymasem i
jednocześnie przyciągnęła ku
sobie kolejne dwie dziewczynki.
- Edith i Molly, serdeczne
przyjaciółki, które razem
przybyły tu z Anglii; za nimi
stoi Jeanne_marie, Węgierka...

Nazwałyśmy ją Jamy, bo to lepiej pasuje do małej figurki. Tu zaś jest Mademoiselle Anna de Fauconnet. Jeden z jej przodków, Gaeton, wraz ze Świętym Ludwikiem brał udział w bitwie pod Issus, sześćdziesiąt wieków przed Chrystusem.

- Och, Lizo! Mój przodek nie nazywał się Gaeton, nie walczył pod Issus sześć tysięcy lat przed Chrystusem. Jak możesz coś takiego opowiadać! - zaprotestowała Anna ze śmiechem. Nie czuła się obrażona, gdyż dawno odkryła, że nieustanne żarty jej współlokatorki są pozbawione cienia złości.

- A jeśli chodzi o mnie - ciągnęła dalej Liza - to jestem Liza Brunet, Szwajcarka, daleka krewna dyrektorki. Wcale mnie z tego powodu nie kocha bardziej od innych. Kiedy zjawi się Eileen, będziemy w komplecie. No, a teraz mów o sobie.

W kilku słowach Heidi opowiedziała im o życiu z dziadkiem wysoko w Alpach i o miesiącach spędzonych u Klary we Frankfurcie.

- Dyrektorka szkoły w Dorfli bardzo interesowała się moimi lekcjami muzyki. Niestety wyjechała. Nowy dyrektor nie miał głowy do uczenia mnie gry na skrzypcach. Był surowy i nieprzystępny. Pragnął jedynie nauczyć dzieci czego należy i utrzymać je w posłuszeństwie. Dziadek widział, że źle się czuję w takiej szkole. Razem z doktorem, moim ojcem chrzestnym, postanowili wysłać mnie do Lozanny, bym mogła brać lekcje u dobrego profesora. Początkowo nie chciałam wyjechać i pozostawić ich samych, ale uznali, że to dla mojego dobra. Bardzo troszczą się o mnie.

- My też będziemy dla ciebie dobre - zapewniła Liza. - Ale teraz wracajmy do łóżek. Zobaczymy się jutro.

Jedna za drugą dziewczęta wymknęły się z pokoju. Jami wychodząc ostatnia, uśmiechnęła się do nowicjuszeki tak słodko, że ta zapomniała o tęsknocie za domem i znowu poczuła się szczęśliwa. Szybko się rozebrała i uklękła przy łóżku do wieczornej modlitwy.

- "Dobry Boże, dzięki Ci za wszystko! Dziękuję, że mnie tu sprowadziłeś - to było wszystko, co mogła w pierwszej chwili powiedzieć. Potem dodała cichutko. - Pomagaj mi, proszę, w mej pracy tutaj, żeby dziadek mógł być ze mnie dumny. I proszę cię Boże, opiekuj się nim i doktorem, i dobrym pastorem, i jego żoną, i wszystkimi we wsi Dorfli. Uczyń dyrektora szkoły dobrym a dzieci szczęśliwymi. Błogosław kochaną babcię w niebie i opiekuj się szczególnie Brygidą i Piotrkiem, kozim generałem. Nie pozwól, żeby Turek go pobódl i nie pozwalaj mu podchodzić zbyt blisko krawędzi skał. I opiekuj się Szczygiełką i Śnieżulką, i Białaską, i Buraską" ...

I tak wymieniała jedno za drugim imiona kóz, dopóki się nie zmęczyła, i nie ułożyła do snu.

II. Lekcja gry na skrzypcach

Rozdział II

Lekcja gry na skrzypcach

Słońce przenikając przez
szczeliny okiennic, obudziło
Heidi, zanim zadzwonił dzwonek.
Nastąpił dzień wypełniony
zarówno miłymi jak i przykrymi
wydarzeniami.

Poznała nauczycielkę
francuskiego, Mademoiselle
Raymond - bardzo wysoką, chudą i
krótkowzroczną. Pod szyją miała
sztywny, wysoki kołnierzyk, a
włosy upięte były w węzeł na
czubku głowy. Z tyłu suknię
zdobił rząd guzików,
przypominających małe
chrząszcze. Mademoiselle Raymond
zatrzymała się, by popatrzeć na
Heidi i powiedziała półgłosem:

- Jestem bardzo surowa,
zwłaszcza w ocenie dyktand.
Twoja przyjaciółka Klara uczyła

się dobrze, wręcz doskonale.

Heidi ogarnął lęk, że nie zdoła dorównać Klarze, o której w szkole wszyscy wyrażali się tak pochlebnie. Umocniła się w tym przekonaniu po rozmowie z Fraulein Feld.

- Dzień dobry, Heidi! Mam nadzieję, że stworzymy szczęśliwą rodzinę i będziesz taka wesoła i kochana jak twoja przyjaciółka. Klara miała wyjątkowo pogodne usposobienie.

Powiedziała to przede wszystkim po to, żeby Heidi zrozumiała znaczenie właściwego zachowania. Prywatnie Fraulein Feld poczuła szczerą sympatię do tej prostej, wiejskiej dziewczynki, z dwoma długimi warkoczami, ubranej w skromną, bawełnianą sukienkę.

Jak przyjmą ją w klasie koleżanki? Wszystkie pochodziły z dobrych i zamożnych rodzin. Fraulein Feld nie miała zwyczaju obnażania swych uczuć, wzruszyła więc tylko ramionami i powiedziała głośno - no cóż, zobaczymy...

Tego pierwszego przedpołudnia Heidi zrobiła pięćdziesiąt dwa błędy w dyktandzie, wobec którego Mademoiselle miała tak surowe wymagania. Nie zrozumiała jednego polecenia w sali gimnastycznej i podczas obiadu zaplamiła obrus.

Mademoiselle Larbey, dyrektorka, obrzuciła ją bardzo surowym spojrzeniem.

- Nie mieszkamy na wsi - powiedziała. - Musisz się nauczyć zachowywać przy stole jak należy.

- Proszę o wybaczenie, Mademoiselle - odezwała się Heidi. - To był nieszczęśliwy wypadek.

- Nie odpowiadaj, kiedy ci zwracam uwagę. To jest impertynencja - pouczyła dyrektorka.

Heidi, która wcale nie miała zamiaru być niegrzeczna, usiadła zmieszana.

Mademoiselle Larbey dodała zaś: - Po południu pójdziecie z Miss Smith na przechadzkę. O

wpół do piątej, kiedy przyjedzie Eileen, zbierzemy się w klasie i przeczytam wam regulamin szkoły. Bądźcie szczególnie dobre dla Eileen, dziewczęta. Jej ojciec niedawno zmarł, a matka choruje.

Po spacerze Heidi poszła do swego pokoju. Zastała w nim Eileen, nową uczennicę, pośród stosów sukien, kapeluszy, bucików, książek, rękawiczek i walizek.

- Jak się masz Eileen. Jestem Heidi, twoja współlokatorka.

- Dzień dobry - odpowiedziała sztywno Eileen, nie podnosząc głowy.

- Może ci pomóc poukładać rzeczy? - ofiarowała się Heidi, pamiętając, że dyrektorka poleciła im życzliwie traktować Eileen.

- Nie, dziękuję ci. Wolałabym mieć pokój tylko dla siebie. Czy nie możesz poprosić o zamianę? - zapytała wyniośle.

- Obawiam się, że to niemożliwe - odparła Heidi. - Pozostałe dziewczynki są tu

dłużej ode mnie. Wszystkie już mają swoje współlokatorki.

- Jakież to irytujące! -
Eileen odwróciła się plecami,
aby rozpakować kolejną walizkę.

Na balkonie Heidi spotkała
Jamy, Lizę, Annę i Ewę.

- Eileen przyjechała -
ogłosiła.

- Tak? A jaka ona jest? -
spytała Liza.

- Wysoka, szczupła, ma bardzo
czarne włosy i zielone oczy.

- Czy jest miła? -
zainteresowała się Jamy.

- Idź i przekonaj się sama, a
potem mi powiesz, co o niej
myślisz - odrzekła Heidi.

Wszystkie cztery dziewczynki
zniknęły za wysokimi drzwiami
prowadzącymi do pokoju.

- Witaj, Eileen! - powitały ją
chórem.

- Och, witajcie! Dlaczego mam
dzielić pokój z tą małą

wieśniaczką? - zawołała
gniewnie.

- Ależ to jest Heidi! -
zaprotestowała Liza.

- A któż to taki ta Heidi? -
zapytała Eileen wyniośle.

- Przyjaciółka Klary -
wyjaśniła Ewa.

- Wnuczka Halnego Stryjka z
gór - dodała Anna.

- Pięknie gra na skrzypcach -
uzupełniła Jamy.

- A więc jest artystką...
wieśniaczka i artystka...
okropność! Dlaczego nie mogę
mieszkać z tobą? - zwróciła się
do Anny, której francuskie
pochodzenie uzewnętrzniało się
doskonałą prezencją.

- To niemożliwe! Odkąd
przyjechałam przed trzema
dniami, jestem skazana na
towarzystwo tej oto Lizy.
Sprzeczamy się całymi dniami -
mówiła ze śmiechem - ale nie
opuszczę jej za nic w świecie.

- Wielka szkoda! A ty? -

Eileen spojrzała na Ewę.

- Ja? - spytała trochę zaskoczona Ewa. - Bardzo nam dobrze z Jamy. Ja jestem wysoka, ona niska, więc doskonale się uzupełniamy. Poza tym Heidi to miłe dziewczę i wszystkie ją lubimy.

- Mnie ona nie odpowiada - powiedziała majestatycznie Eileen.

- No to wielka szkoda - zakończyła dyskusję Liza, ale opuściła pokój z wesołym błyskiem w oczach. Heidi została zaatakowana i teraz wszystkie miały okazję stanąć w jej obronie.

Z jednej strony klasy, w której zebrały się nowe uczennice, aby wysłuchać regulaminu, znajdowały się wielkie drzwi do pięknie utrzymanego ogrodu. Kiedy czekano na przyjście Mademoiselle Larbey, Heidi wymknęła się na zewnątrz. Patrzyła na kępki pierwiosnków ukryte w niskiej trawie, na zaczynające pękać nabrzmiałe pąki kasztanów, na malutki,

kłębiasty obłoczek płynący nad ogrodem - chyba wprost znad górskich szczytów. Wyglądał zupełnie jak Śnieżulka - mała, biała kozia sierota - ulubienica Heidi z czasów, gdy chodziła z Piotrkiem na górskie pastwiska.

- Heidi! Ona nadchodzi! - ostrzegawczo zawołały dziewczynki. Heidi zdążyła w porę wsunąć się na swoje miejsce, gdy do klasy wkroczyła Mademoiselle Larbey.

Zaczęła czytać uroczystym głosem: - Regulamin "Szkoły pod Głogami".

1) Uprzejmość obowiązuje zawsze i wszędzie.

2) O wpół do dziesiątej gasną wszystkie światła.

3) Nie wolno grać na fortepianie przy otwartych oknach.

4) Nie wolno wieszać na ścianach obrazków i fotografii.

5) Zabrania się...

6) Nie wolno....

7) Uczennice powinny...

8) Młode dziewczęta nie powinny...

I tak dalej i tak dalej, przez dwie długie strony. Potem nastąpiło wyliczanie kar: zakaz wychodzenia na spacer, grzywny - od dziesięciu centymów - do jednego franka, zamknięcie w pokoju, zawiadomienie rodziców, wykluczenie.

Regulamin zrobił duże wrażenie na wszystkich uczennicach. Spoglądały jedna na drugą w milczeniu, nawet po wyjściu dyrektorki. Jedyne Liza, bardziej figlarna niż pozostałe, rozładowała napiętą sytuację, gdy naśladowując pedantyczną intonację Mademoiselle Larbey, zauważyła: "Przede wszystkim zabrania się traktować ten regulamin zbyt poważnie".

Dziewczęta jeszcze zanosily się śmiechem, kiedy do klasy weszła Mademoiselle Raymond. Uciszyła je jednym ruchem palca.

- A teraz bierzemy się do pracy - oświadczyła surowo. - Ty

Lizo - do fortepianu. Heidi,
Monsieur Rochat czeka, by dać ci
pierwszą lekcję gry na
skrzypcach. Eileen, możesz pójść
i uporządkować swój pokój. Anna
i Ewa mają lekcję angielskiego,
reszta zostaje ze mną.

Monsieur Rochat przejawiał
ojcowskie zainteresowanie Heidi
i zadał jej wiele pytań
dotyczących życia w Dorfli.
Odpowiadała na nie ze zwykłą
sobie otwartością i prostotą.
Później on opowiadał o górach,
które dobrze znał i kochał.
Wakacje spędzał w Alpach,
pracując jako przewodnik
uczniów, udających się na
wspinaczkę.

- Jak długo uczyłaś się gry na
skrzypcach? - zapytał
dziewczynkę.

- Dwa lata - odrzekła.

- A kto pierwszy podsunął ci
myśl o graniu? - kontynuował.
Nowa uczennica zaczynała go
coraz bardziej interesować.

- Najpierw był to szmer wiatru
w gałęziach jodeł, wysoko w
górach, a potem Klara podarowała

mi skrzypce - wyjaśniła Heidi.

- Dobrze! A teraz zobaczymy,
co potrafisz.

Heidi tak bardzo chciała
zrobić przyjemność nowemu
nauczycielowi, że palce miała
sztywne z przejęcia i grała
wyjątkowo źle.

- Moje dziecko - powiedział
Monsieur Rochat - zanim
zostaniesz prawdziwą
skrzypaczką,
musisz przejść
bardzo długą drogę.

- Skrzypce nie brzmią tu tak
samo jak w domu - zauważyła
Heidi, wpatrując się ze
zdziwieniem w instrument.

- Skrzypce są w porządku -
odrzekł nauczyciel. - To tylko
dziewczynka reaguje na obce
otoczenie.

- Kiedy spoglądam na jezioro -
wyjaśniła Heidi - to już nie
czuję się obco.

- A więc graj przy oknie, moje
dziecko.

- Istotnie, tak zrobię! -
zawołała Heidi i podbiegła, by
odsunąć okiennice. - A teraz
zagram dla dziadka i zacnego
doktora, i Brygidy, i Piotrka
przebywającego wysoko w górach.
Zagram nawet dla niewidomej
babci w niebiańskim ogrodzie.

- A gdzie to jest? -
zainteresował się nauczyciel.

- Tam, gdzie ślepi widzą -
odparła Heidi nabożnie. - Babcia
opowiadała mi o tym, gdy
czytałam jej psalmy. Potem
nauczyłam się dla niej grać, bo
to sprawiało jej przyjemność. A
teraz ona słucha tylko
niebiańskiej muzyki.

- Cóż za słodka, naiwna wiara
- szepnął do siebie Monsieur
Rochat, wyciągając wielką
chustkę, aby otrzeć oczy. Po
czym powiedział z wielką
pewnością w głosie: - Będiesz
grać, Heidi. Ale zawsze będziesz
grać najlepiej dla tych, którym
twoja muzyka będzie najbardziej
potrzebna.

III. Pod nieobecność Heidi

Rozdział III

Pod nieobecność Heidi

W Dorfli nastawa wiosna.
Fioletowe i białe krokusy kwitły
na zboczach, brzegi ścieżek
porastały podbiałem i zewsząd
dochodziła muzyka zrodzona z
szumu małych, górskich
potoczków.

Tego ranka, gdy Halny Stryjek
spojrzał na wysokie, górskie
szczyty, z drogi zniknęła
ostatnia odrobina śniegu.

- Doktorze, jutro idziemy w
góry - kozy i ja - oznajmił
radośnie.

- Stryjku, nie myślisz chyba
poważnie, by wybrać się tak
wczesnie. Nie mam prawa ci

doradzać, ale nie jesteś już
młodzieniaszkiem. Dlaczego nie
miałbyś jeszcze pozostać tutaj i
Piotrkowi powierzyć swoje kozy?
- zapytał przyjaciel.

- Ach, doktorze - westchnął
starzec. - Nie rozumiesz tego,
że muszę pójść, zwłaszcza, że
może to ostatni raz. Muszę pobyć
i porozmyślać tam, gdzie bliżej
Boga.

- Poczekaj jeszcze trochę -
namawiał doktor - wieczory są
jeszcze chłodne, a noce zupełnie
zimne.

- Przeżyłem tyle takich nocy,
że to nie ma znaczenia - odparł
Stryjek. - Dzięki ci za troskę.
Góry jednak wzywają mnie i jutro
tam pójdę.

Doktor zamilkł, widząc, że
żadne prośby na nic się nie
zdadzą. Powiódł zatroskanym
wzrokiem za dziadkiem, który
wyszedł, by poczynić niezbędne
przygotowania do wyprawy.

Po chwili wahania doktor udał
się na poszukiwanie Piotrka.
Zastał go przy reperowaniu dachu
matczynej chaty. Wiatr zerwał

kawał poszycia i w dachu
widniała dziura. Piotrek nie
miał zręcznych rąk i dobrze o
tym wiedział. - Jeszcze jedna
zima - twierdził - i z chaty nie
zostanie ani śladu. Stryjek ją
zawsze naprawiał - poskarżył
się.

- Piotrku, Stryjek jest stary
- powiedział doktor. - Zimny,
alpejski wiatr nie wyjdzie mu na
dobre. A pomimo to, postanowił
jutro iść w góry i zabrać ze
sobą kozy. Co możemy zrobić,
żeby go powstrzymać?

- Nic - stwierdził Piotrek z
rezygnacją.

- Nic? Dlaczego nic? Chcesz,
żeby staruszek tam zamarzł?

- Nie - odparł chłopiec. -
Wiem tylko, że nie można zmienić
jego postanowień. A pan zostanie
sam?

- Istotnie, zostanę sam -
odpowiedział doktor. - Chyba, że
twoja poczciwa matka opuści swą
chatę i będzie mi prowadzić dom.

Piotrek z powątpiewaniem
popatrzył na dziurawy dach,

który usiłował zreperować.
Mógłby położyć kilka warstw
desek, pokryć je papą i żwirem,
ale to i tak na nic się nie zda.
Fundamenty domu gniją i gwoździe
nie mogą utrzymać spróchniałego
drewna. Tak, pomyślał tylko,
dalsze naprawy nie mają sensu.
Brygida będzie rada z możliwości
pieczenia chleba i ciasta dla
doktora. On zaś z przyjemnością
będzie je zjadać przy stole
doktora, przy którym zasiadał
często razem z Heidi.

- Przeniesiemy się -
oświadczył, zsuwając się z
dachu.

- Znakomicie! - ale najpierw
mujesz pomóc Stryjkowi z
bagażem. Jest zbyt ciężki, by
uniósł go sam. Tylko - dodał
ostrzegawczo - tego mu nie mów.

Chłopiec zrozumiał. Halny
Stryjek wpadał w melancholię,
gdy uświadamiał sobie, że traci
siły. Tego popołudnia Piotrek
kręcił się koło domu w Dorfli,
wypatrując i wyczekując.

- Stryjku, czy mogę pójść z
tobą i wydoić kozy? - zapytał,
gdy tylko pojawił się staruszek.

- Dobry dzień, Kozi Generale.
Pewnie, że możesz - odrzekł
dobrodusznie.

- Kozy wyglądają jak po
kąpieli - zauważył chłopiec,
kiedy wyprowadzili zwierzęta z
obórki.

- Muszą być czyste na
powitanie słońca. Tak pracowało,
żeby przygotować nam górę ze
świeżą, zieloną trawką i
barwnymi kwiatami. Szałas jest
też umyty śniegiem. Ani kozy,
ani ja, nie możemy pójść tam
jutro i narobić słońcu wstydu.

- Chciałbym bardzo wybrać się
z wami. Czy mogę? - zapytał
Piotrek.

- A co ze szkołą?

- Nigdy nie zapamiętacie, że
już skończyłem szkołę? A poza
tym jutro jest niedziela - dodał
pospiesznie chłopiec.

- No dobrze - odparł Halny
Stryjek. - Jeśli sprawi ci to
przyjemność, to możesz pójść.

Nazajutrz mała chatka na hali

otworzyła szeroko drzwi i okna,
jakby chciała napić się
słonecznego blasku. Dzień mijał
za dniem. Ciepło wiosennego
słońca obudziło najpierw
malutkie, niebieskie gencjany,
te z białą gwiazdką pośrodku.
Potem, jeden za drugim wszystkie
kwiaty otwierały swe kielichy.
Były tu i żonkile, i
pierwiosnki, i małe, złociste,
skalne różyczki. Wszystkie
kwitły niezwykle barwnie.
Piotrek przyglądał się temu
cudowi natury, jak robił to
każdej wiosny, odkąd sięgał
pamięcią. Prawdziwe piękno tego
zjawiska pojął jednak dopiero
wtedy, gdy ukazała mu je Heidi.

Trawa na pastwiskach stała się
lśniąca i słodka rozciągając się
jak suto zastawiony stół dla
baraszkujących kóz. Piotrek
wstawał codziennie ze słońcem; a
wieczorem, gdy schodził zboczem
w dół, zawsze spotykał Stryjka
czekającego przed chatką.

- Widziałeś jastrzębia,
generale? - pytał co wieczór
staruszek.

- Tak - odpowiadał Piotrek. -
Często go widuję.

- Udało mu się chwycić koźlę?

- Nie, Stryjku. Wiesz, że jestem silny. Jeśli jastrząb zbliża się zbyt blisko do stada, to wygrażam mu laską i rzucam w niego kamieniami. Jest dość mądry, żeby się trzymać z daleka.

- Jesteś odważniejszy od Gerarda, koźlarza z Ragaz. Nieraz widziałem, jak jastrząb chwycił koźlę z jego stada. Z kim ty rozmawiasz tam, na pastwisku?

- Stryjku, żartujesz sobie ze mnie - rozzalił się Piotrek.

- Ależ nie - odparł dziadek. - Ja też jestem sam przez cały dzień, a lubię sobie wieczorem uciąć pogawędkę. Gdyby przyjechała Heidi, to poszłaby z tobą. Nie byłbyś wtedy taki samotny; z kozami tylko i jastrzębiem. Ona bardzo lubiła chodzić na górskie pastwiska.

Białaska i Buraska, dwie kozy należące do Halnego Stryjka, wyczuły smutek brzmiący w jego głosie. Zaczęły ocierać się o

niego nosami, jakby chciały powiedzieć: "Jesteśmy z tobą. Jesteśmy z tobą. Już nie jesteś samotny".

Stryjek pogłaskał je i dał im trochę soli.

- Heidi chciałyby paść kozy - westchnął.

Piotrek podrapał się po krótko ostrzyżonej głowie, starając się wymyślić coś takiego, co zwróciłoby myśli staruszka w bardziej pogodnym kierunku. Ale jego opowiadanie o barwnych kwiatkach na pastwisku, słodkiej trawie i figlarnych kozłkach, przynosiły wciąż tę samą odpowiedź: "Heidi chciałyby je zobaczyć".

Wtorek był dla Halnego Stryjka dniem wyjątkowo szczęśliwym. Wtedy bowiem Piotrek wyruszał w góry, mocno ściskając list, który Heidi pisała każdej niedzieli. Na pensji nie pisano listów według życzenia, lecz w wyznaczonym czasie.

Dziadek, który wstawał przed wschodem słońca, często już w pół drogi spotykał kozłarza. Nie

czytał listu od razu. Czekał, aż usiądzie sobie wygodnie na ławeczce przed chatą. Tu miał przed oczyma widok na całą dolinę. Czuł, że może myślami dosięgnąć Heidi, jeśli będzie spoglądał na drogę, wijącą się między górami, aż do samej Lozanny.

"Drogi Dziadku - pisała - pracuję tak wytrwale, jak tylko mogę, aby powrócić do domu możliwie najprędzej. Monsieur Rochat jest ze mnie zadowolona, Mademoiselle Raymond również. Chociaż ona twierdzi, że nie umiem właściwie wymawiać "r". Proszę Cię, pocałuj ode mnie Białaskę i Buraskę. Pocałuj je mocno i prosto w nos, i nie zapomnij dawać soli Szczygiełce, kiedy Piotrek przechodzi obok ze stadem. Ona była zawsze słabsza od innych.

Często się martwię o Ciebie, jak tam żyjesz sam w chacie na hali. Chciałabym, bardzo bym chciała, być tam razem z Tobą. Zwłaszcza wieczorem, kiedy siedzisz na swojej ławeczce, słuchasz jak wiatr porusza

wierzchołki drzew i myślisz o mnie. Dzisiaj będę w małym pokoiku na wieżyczce grać dla Monsieur Rochata. Wyobrażę sobie, że jestem tam razem z Tobą i to będzie tak, jakbym grała dla Ciebie."

List ciągnął się jeszcze przez trzy strony i zawierał spis rzeczy, którymi dziadek miał się zająć. Heidi prosiła go również, żeby zebrał niektóre górskie kwiaty, ususzył je i przysłał jej do szkoły. Chciała ozdobić swój pokój tak samo jak sypialnię w domu. Pisała, że pensja się jej podoba, uczy się z przyjemnością i lubi swoje koleżanki. Mimo pogodnej treści, dziadek odczytał między wierszami tęsknotę za domem.

Staruszek wracał do listu Heidi wiele razy przez cały tydzień. Rozmyślał nad nim, rozważał zdanie po zdaniu - rad, gdy jego dziewczynka czuła się szczęśliwa - przygnębiona, gdy sądził, że jest smutna,

Piotrek nie był zadowolony. Twarz dziadka stawała się

dziwnie szara. Oczy straciły swój zwykły blask. Jednego wtorku dziadek nie wyszedł mu na spotkanie i chłopiec wystraszył się. Pobiegł spieszenie do chatki, w obawie, że stało się coś złego. Staruszek jednak siedział spokojnie na ławeczce, czekając na niego.

- Przyniosłeś mi list, generale?

- Tak, Stryjku - odpowiedział Piotrek. - Wyglądasz dziś na zmęczonego. Czy coś się stało?

- Nic się nie stało i nie jestem zmęczony - odparł Halny Stryjek. - Po prostu jestem stary.

- Ale przecież stary jesteś od dawna.

- Tak, lecz przedtem nie czułem tego - stwierdził dziadek. - A teraz czuję.

Nadszedł lipiec. Zamknięto szkołę w Dorfli i każdego dnia dziadek obserwował gromady dzieciaków. Wdrapywały się na zbocza opadające ku wiosce, aby

pomagać rodzicom przy sianokosach. Sam skosił już trawę na łące za chatą, przewrócił, żeby wyschła i wniósł siano na plecach do małej stodółki. Wysyłał do Heidi listy krótkie, lecz pełne uczucia i często wkładał do nich suszone kwiaty. Któregoś dnia powiedział do Piotrka:

- Zaprowadź dziś kozy trochę wyżej niż zwykle. Weź je aż do tej wielkiej skały, gdzie trawa jest miękka i słodka. Upewnij się, że Białaska i Buraska zjedzą swoją porcję. Ich mleko musi być szczególnie smaczne, ponieważ chcę z niego zrobić mały serek dla Heidi. Czy nie uważasz, generale, że to dobry pomysł?

Piotrek zgodził się ze starym pasterzem bez wahania.

- Och, Stryjku, to doskonała myśl! - wykrzyknął. - Heidi na pewno się ucieszy.

IV. Prezent od dziadka

Rozdział IV

Prezent od dziadka

Zbliżał się koniec szkolnego semestru i niektóre uczennice wyjeżdżały na wakacje. Liza jechała na wieś, spędzić miesiąc z rodzicami. Anna wracała do domu, do Bretanii. Ewa miała spędzić wakacje z przyjaciółmi w górach. Lecz Eileen, Jamy, Heidi i obie Angielki, pozostawały w szkole.

Teraz, kiedy Ewa wyjechała, Heidi chciałyby zamieszkać z Jamy, która stała się jej najbliższą przyjaciółką. Nie śmiała prosić o zmianę z obawy, że sprawi przykrość Eileen.

Pewnego dnia, krótko przed wakacjami, otrzymała z Dorfli małą starannie zapakowaną paczuszkę. Dziewczynki były

bardzo zaciekawione i próbowały
odgadnąć, co jest w środku.

- Czekolada!

- Nie, przecież paczka jest
okrągła.

- Może to bukietik kwiatów.
Będą zupełnie zwiędłe.

- Wszystkie się mylicie!
Jestem przekonana, że to torcik!

- Pospiesz się Heidi -
ponaglały. - Otwórz ją i
zobaczemy, kto miał rację.

Heidi przecięła sznurek i
otworzyła paczkę. Ku zdumieniu
dziewcząt, na stole leżał mały,
kozi serek - okrągły i bielutki.

- Śmietankowy serek! -
wykrzyknęły, marszcząc nosy.

- Ale brzydko pachnie - dodała
jedna z Angielek. - Biedna
Heidi! Twój dziadek pewnie
myślał, że cię tu głodzą.

- Doskonały żart - zgodziły
się wszystkie i zaczęły
chichotać.

Jedna Heidi nie śmiała się.
Przez chwilę miała nawet ochotę
wyrzucić ten nieszczęsny serek
przez okno. Z jego powodu
koleżanki żartowały z niej.
Potem jednak zawstydziała się.
Przypomniała sobie, jak dziadek
wołał ją na kolację, a ona
wdrapywała się na małe
krzeselko, które zrobił
specjalnie dla niej. Zwykle nie
było nic poza razowym chlebem,
serem i kozim mlekiem do
popicia. Z jakim jednak apetytem
zjadali oboje z Piotrkim te
kozie serki po dniu wspinania
się za stadem! Białaska i
Buraska dawały najlepsze mleko
na sery i dziadek sam mieszał je
drewnianą łyżką, aż zgęstniało w
naczyniu. Teraz Heidi przyznała
się do tęsknoty za znajomym
smakiem serka.

- No to się częstuj! - zaczęły
ją drażnić koleżanki. Ze
śmiechem i kpinami wybiegły z
pokoju zaciskając palcami nosy.

- Rety! Co za zapach!

- Szybko, na świeże powietrze!

- Otwórz szeroko okno, żeby
wiatr wywiał ten zapaszek!

- Nie chcę pozostać w tym pokoju. Ona pewnie zachowa ten ser na pamiątkę, a ja nie zniosę tego smrodu! - zawołała Eileen.

Nagle dziewczęta przestały się śmiać. Edith, zawsze tak układna, subtelna i elegancka, że wszystkie ją naśladowały, spojrzała na Eileen ze zdziwieniem.

- Ależ Eileen, mam nadzieję, że nie traktujesz tego poważnie. My tylko żartowałyśmy.

- Dobrze ci tak mówić! Heidi nie mieszka w twoim pokoju - odrzekła Eileen.

- Gdyby nie Molly, którą znam od dawna, to chciałabym mieszkać właśnie z Heidi - powiedziała z uczuciem Edith.

- Cóż, a ja nie! - odpaliła Eileen. - Mam jej dosyć. Idę do Mademoiselle Larbey poprosić o zmianę pokoju.

- Nie zrobisz tego!

- Oczywiście, że zrobię. Zaraz zobaczycie!

Dzwonek na lekcje przerwał tę scenę. Pomimo wakacji uczennice pracowały codziennie między piątą a wpół do siódmej. Teraz więc udały się do swoich klas z uczuciem, że zdarzyło się coś bardzo niemiłego. Heidi wyglądała szczególnie smutno, kiedy weszła do pokoju, w którym czekał na nią Monsieur Rochat.

- Co ci się stało, Heidi? - zapytał z głęboką troską. - Czy otrzymałaś złą wiadomość z Dorfli?

- Dziękuję panu, nie - odparła uczennica. - Dziadek i doktor mają się dobrze, a Piotrek i jego matka czują się szczęśliwi w domu doktora.

- A więc coś złego musiało stać się tutaj - nastawał nauczyciel.

- Nie, nie, wszystko jest w porządku - zapewniła uczennica. Monsieur Rochat nie wypytywał jej więcej, ale postanowił sam dowiedzieć się, co się stało. Był bardzo przywiązany do Heidi i nie mógł znieść widoku jej zasmuconej twarzyczki.

Po lekcji jak zwykle poszedł do biblioteki, aby poczekać do kolacji. Zastał tam grupkę podekscytowanych nauczycielek, pracowicie mielących językami. Teraz już był pewien, że coś się wydarzyło, tylko co?

- To nieprawdopodobne - mówiła wzburzona dyrektorka. - Można by pomyśleć, że moje uczennice głodują, że nie daję im wystarczająco dużo jedzenia. Co sobie ludzie pomyślą o mojej szkole? Zupełnie nie wiem, co mam robić - zakończyła, załamując ręce dramatycznym gestem.

- A co można zrobić? - równie dramatycznym tonem zapytała Miss Smith.

Na bibliotecznym stole leżało coś, czemu wszystkie przypatrywały się z uwagą. Profesor jednak ze swego kącika niczego nie mógł zobaczyć.

- Moim zdaniem - zauważyła Mademoiselle Raymond - nie chodzi o to co zrobić z tym, ale co zrobić z Eileen. Ona nie chce nadal mieszkać z Heidi.

- Ach! To jest całkiem zrozumiałe - westchnęła dyrektorka.

- Dziecko tak delikatne, tak wrażliwe! A jakie jest pani zdanie o tym wszystkim, Miss Smith? Jaki pokój mamy przeznaczyć dla Heidi? Jest zupełnie pewne, że żadna z dziewcząt nie zechce mieszkać z małą wieśniaczką, która przechowuje w pokoju kozie serki.

Do tej chwili Monsieur Rochat słuchał, nie rozumiejąc o co chodzi. Teraz wszystko było jasne. Usta mu się lekko wykrzywiły, ale dalej milczał.

- Spanie w tym samym pokoju, w którym znajduje się Heidi, będzie niemożliwe - wyraziła swoją opinię nauczycielka angielskiego - jeśli zatrzyma ten serek. To szkodliwe dla zdrowia.

- Ale przecież - wtrąciła Fraulein Feld - ona nie odpowiada za ten niezwykły prezent.

Nauczyciel muzyki podszedł trochę bliżej; usta drgały mu pod gęstym wąsem.

- A pan, Monsieur Rochat, co pan o tym myśli? - zwróciła się do niego dyrektorka.

- Nie mam nic do powiedzenia, w każdym razie w tej chwili - odparł.

Po chwilowym milczeniu Mademoiselle Larbey poleciła:

- Proszę tu przysłać Jamy, Molly i Edith. Spróbujemy znaleźć jakieś wyjście.

Fraulein znalazła wszystkie trzy w pokoju Angielek, gdzie gorąco o czymś rozprawiły.

- Panienki - zaczęła dyrektorka, kiedy Fraulein wprowadziła dziewczęta do biblioteki - wiecie, co się wydarzyło. Wasza koleżanka Eileen odmówiła zamieszkiwania z Heidi. Która z was zgodzi się mieszkać z Eileen?

Przez chwilę panowało całkowite milczenie, po czym Edith spojrzała na dyrektorkę i

powiedziała: - Mademoiselle,
wszystkie trzy chciałybyśmy
dzielić pokój z Heidi! - Mówiąc
to, mocno podkreśliła imię
Heidi.

Potem odezwała się Jamy: -
Molly i Edith są dawnymi
przyjaciółkami. Ewa jest teraz
na wakacjach, więc czy Heidi
mogłaby wprowadzić się do mnie?

- Decyzję podejmiemy później -
odparła trochę zbita z tropu
dyrektorka. - Teraz możecie
odejść.

Spojrzała na Monsieur Rochata,
któremu cała ta scena sprawiła
niezwykłą przyjemność.

- Jak pani widzi, miałem
powody, aby nie interweniować.
Wszystko ułożyło się samo -
powiedział z uśmiechem.

- To pan tak myśli -
odparowała dyrektorka z
wysiłkiem - ale nic się przecież
nie ułożyło. Co ja powiem
Eileen? Będzie miała złamane
serce, biedne dziecko! - dodała
współczująco.

- Możliwe, ale to jej dobrze

zrobi - stwierdził profesor. -
Czy ktoś pomyślał o sercu Heidi?

Nauczycielki wymieniły
zakłopotane spojrzenia, a
profesor opuścił bibliotekę
uśmiechając się pod wąsem.

Przy kolacji Monsieur Rochat
zwrócił się łagodnym tonem do
Heidi.

- Słyszałem, że otrzymałaś z
Dorfli coś specjalnego, piękny
serek z koziego mleka. Czy
moglibyśmy go poppróbować? Jestem
pewien, że twoje koleżanki nigdy
takiego nie jadły; a jeśli
chodzi o mnie, to nieczęsto
trafia mi się podobny rarytas.

Heidi zarumieniła się i
spojrzała na siedzące przy jej
stole dziewczynki. Uśmiechały
się zachęcająco i znowu Edith
wypowiedziała w imieniu
wszystkich.

- Bardzo prosimy, Heidi,
poczęstuj nas.

Wszyscy, z wyjątkiem Eileen,
która nie chciała go tknąć,
zjedli po plasterku
"specjalności Dorfli". Jednym

smakował bardzo, inne zaś udawały, że im smakuje.

Heidi doskonale rozpoznawała te, które jadły tylko z uprzejmości i uśmiechnęła się na widok Molly, odważnie dojadającej swoją porcję.

Po kolacji Mademoiselle Larbey przyłączyła się do siedzących w saloniku dziewcząt.

- Eileen - powiedziała - zdecydowałyśmy pozostawić cię samą w pokoju. Żadna z dziewcząt nie chciała z tobą zamieszkać, chociaż wszystkie wyraziły chęć dzielenia pokoju z Heidi. Wydaje mi się, że zrozumiesz to lepiej po przemyśleniu w samotności. Porozmawiam jeszcze z tobą na ten temat, ale już w moim gabinecie. Przyjdź tam o wpół do dziewiątej. A ty, Heidi, możesz się przenieść do Jamy i zabrać ze sobą resztę koziego serka.

- Och, dziękuję, Mademoiselle!
- wykrzyknęła Heidi z wdzięcznością.

- Heidi!

- Jamy! - zawołała Heidi,

kiedy padły sobie w objęcia.

Nie mogła powiedzieć nic
więcej, lecz jej oczy były jak
jeziora -
 lśniące łzami
szczęścia.

V. List do dyrektorki

Rozdział V

List do dyrektorki

Pewnego dnia doktor spotkał we
wsi Piotrka i zapytał o
przebywającego w górach Halnego
Stryjka.

- Jest bardzo smutny -
westchnął Piotrek.

- Dlaczego? - zdziwił się

doktor. - Dlaczego uważasz, że jest smutny?

- Jest smutny, bo jest samotny
- odparł z prostotą chłopiec.

- Przecież sam tego chciał! -
wybuchnął doktor. - Czy przypuszczasz, że nie zrobiłem wszystkiego, co w mej mocy, aby powstrzymać go od wyprawienia się w góry?

- On jest smutny, bo tęskni za Heidi - wyjaśnił Piotrek.

- To nie jest odpowiedź -
zniecierpliwił się starszy pan.
- Posłuchaj no, co właściwie tam się dzieje?

Piotrek zastanawiał się chwilę, zanim odpowiedział.

- Stryjek nigdy się nie śmieje. Siedzi tylko na swojej ławeczce przed chatą i kiedy przechodzę, mówi: Heidi chciałaby pójść dzisiaj z tobą w góry. Czasami znowu mruczy do siebie. Chyba lepiej, żeby nie przyjeżdżała... ale nie jestem pewien.

- Dziękuję ci, Piotрку. Pójdę

go odwiedzić.

Na drugi dzień rano, gdy doktor dotarł do chatki, na ławeczce nikogo nie było. Może Halny Stryjek coś naprawia w szopie, pomyślał. Lecz tam też nie było staruszka.

Zaniepokojony doktor wszedł do kuchni i stanął na progu jak wryty. Dziadek siedział przy stole, głowę oparł na złożonych ramionach i zdawał się spać.

- Dzień dobry, Stryjku. Nie słyszałeś, jak wszedłem - powiedział doktor. - Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłem.

- Och, mój przyjacielu! Więc to ty! - zawołał dziadek, prostując się. - Jakiś ty dobry, że zechciałeś przyjść do mnie. Masz jakieś nowiny o naszej małej? - I tu zaczął sam opowiadać o Heidi.

- Czy pisała ci o swej ostatniej przygodzie? Wszystkie dziewczynki pojechały do miasta i tam zatrzymały się przed wystawą sklepową, żeby popatrzeć na obraz przedstawiający góry. Heidi była nim tak pochłonięta,

że nie słyszała wołania
Mademoiselle Raymond i została
zupełnie sama. Zamiast powrócić
od razu do szkoły, postąpiła
jeszcze przed wystawą i patrzyła
na obrazek, bo te góry
przypominały jej dom. Później
spacerowała po ulicach. Te
pomysły o samodzielności
przejęła pewnie od Białaski i
Buraski. Mimo to jestem rad, że
odważnie szukała drogi, gdy
została sama w mieście. Tu mam
jej ostatni list - dodał,
wyjmując go z kieszeni i kładąc
na stole.

- Zdaje się, że lubi lekcje
szycia i niecierpliwie oczekuje
chwili, kiedy sama zacznie tego
uczyć dziewczęta w Dorfli.
Mogłaby korzystać z dużego
pokoju w pańskim domu, doktorze.
Na poddaszu, tego, który stoi
pusty. Co pan o tym sądzi?

Sama myśl o Heidi sprawiła, że
stare oczy rozbłysły blaskiem
szczęścia. Był taki dumny z
inteligencji swej wnuczki, z jej
niezależnego usposobienia. Teraz
figlarnie spoglądał na doktora,
pewien jego aprobaty.

- Zamienić moje laboratorium

na szwalnię! - wykrzyknął przyjaciel. - A ja dokąd pójdę z moimi buteleczkami, retortami i probówkami? Może zechce, żebym i ja uczył się szycia pod jej kierunkiem? Dzieci to twarde orzechy do zgryzienia, Stryjku - chyba będę się musiał przenieść teraz do piwnicy.

Pewien czas rozmawiali o proponowanych przez Heidi lekcjach szycia, o jej muzyce i przyjaciółkach, które znalazła w szkole. Oczy dziadka błyszczały, lecz gdy tylko doktor wstał do wyjścia, znowu sposepniał.

- Zostałbym tu dłużej - zapewnił go stary druh - ale już czwarta, a obiecałem odwiedzić dzisiaj starego Seppeli. Jego koniec już się zbliża.

- Jesteśmy obaj w tym samym wieku - szepnął Halny Stryjek. - Obaj mieliśmy po dwadzieścia lat, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w dolinie... Zdawało się, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale urwał i pogrążył się w zadumie. Może myślał o swej zmarnowanej młodości, o dawno zmarłych rodzicach i latach spędzonych samotnie w

górach, zanim w jego życiu
pojawiła się Heidi. Po długim
milczeniu zaczął mówić
przytłumionym głosem: - Tak,
jesteśmy w tym samym wieku, a ty
mówisz, że on umiera!

Teraz doktor zrozumiał, jakie
to myśli zaprzętały głowę
starca.

Po wizycie u starego Seppeli
doktor pospieszył do domu, po
czym zasiadł przy biurku i
napisał następujący list.

"Ch~ere Mademoiselle,

Miałem zamiar pozostawić moją
chrzestną córkę Heidi na całe
wakacje w szkole, aby mogła
kontynuować lekcje muzyki.
Okazało się jednak, że muszę
zmienić plany. Jej dziadek
bardzo za nią tęskni. Jest w
podeszłym wieku i nie mam prawa
pozbawiać go widoku ukochanej
wnuczki na tak długo. Dlatego
też proszę o zorganizowanie
przyjazdu Heidi do Dorfli na
sierpień. Jestem zbyt zajęty,
aby samemu po nią pojechać i
byłbym wdzięczny, gdyby

zapewniła jej Pani opiekę,
choć do Mayenfeld.

Wiem, że Heidi jest bardzo
przywiązana do swej przyjaciółki
Jamy. Byłoby nam bardzo miło
gościć ją przez kilka tygodni.
Zna mnie Pani na tyle dobrze,
aby polecić rodzicom swej
wychowanki. Będę ogromnie
zobowiązany za zorganizowanie
wyjazdu obu dziewczynek tak
prędko jak to możliwe.

Z wyrazami szacunku

pozostaje

Doktor Reboux"

List dotarł do szkoły w sobotę
z popołudniową pocztą. Heidi z
Jamy czekały na listonosza przy
furtce.

- Czy jest coś dla nas? -
spytały razem.

Odkąd dziewczynki rozjechały

się na wakacje, listonosz stał się bardziej przyjazny. Może żal mu było trochę tych, które pozostały w szkole z dala od swoich rodzin. Tak więc, wbrew surowemu zakazowi Mademoiselle Larbey, pokazał dziewczynkom paczkę listów zaadresowanych do szkoły.

- List od mego ojca chrzestnego do dyrektorki! To dziwne! A do mnie nie ma nic! - wykrzyknęła Heidi, rozpoznając znajome pismo.

- Widokówka od mamy - powiedziała Jamy. - Jest nad morzem z przyjaciółmi... jej przyjaciółmi, nie moimi.

Po chwili milczenia Jamy kontynuowała. - To ładnie z jej strony, że przysłała mi widoczek z hotelem, w którym mieszka. Pewnie jest najładniejszy ze wszystkich. Ma jakieś plany na jesień i nie zdąży mnie odwiedzić. To nie ma znaczenia, już się do tego przyzwyczaiłam.

Wszystko to wypowiedziała Jamy cichym, łamiącym się głosem, który nie ukrywał jej zranionych uczuć. Heidi myślała w tym

czasie o tajemniczym liście i słuchała przyjaciółki jednym uchem. Nagle podniosła głowę, zaskoczona dziwnym tonem jej głosu. Jamy nigdy nie opowiadała w szkole o swej rodzinie i wiadano jedynie, że jej ojciec jest w służbie dyplomatycznej.

- O co chodzi, Jamy? - zapytała. - Jeśli twoja mama nie może przyjechać, to pewnie dlatego, że zatrzymuje ją coś bardzo ważnego. Na pewno zobaczysz rodziców podczas świąt Bożego Narodzenia.

- Nie - odparła Jamy. - Ona znajdzie nową wymówkę, a ja będę musiała wyjechać w przyszłym roku do Anglii. Nie odwiedzę domu i nie zobaczę nikogo z rodziny, nawet mojej młodszej siostrzyczki.

Heidi osłupiała. Czy to możliwe, że ma się matkę, a nie mamę? Czy można odczuwać brak matczynej miłości, chociaż nie jest się sierotą? Heidi wiedziała bardzo dobrze, co to znaczy nie być kochaną. Tak bowiem czuła się przez te gorzkie i samotne lata spędzone z ciotką Detą, zanim ta odwiozła

ją w końcu do nieznanego
dziadka. To oznaczało, że nikt
nie zwraca uwagi czy jadłaś, czy
nie; nikt nie widzi, że masz
czerwone od płaczu oczy, albo
źle wyglądasz. Nikt nie słyszy
twego kaszlu i nie martwi się z
tego powodu. Nikt nie przemawia
do ciebie czule i nie przychodzi
pocałować cię na dobranoc. Nikt
w końcu nie rozumie, że choć
masz czternaście lat, ciągle
jesteś małą dziewczynką
potrzebującą miłości i opieki.
Biedna Jamy! Może na całym
świecie nie było nikogo, kto by
się nią interesował. Czy nie to
było przyczyną jej częstych,
smutnych zamyśleń. Heidi z
siostrzaną czułością objęła
ramieniem przyjaciółkę i
powiedziała miękko:

- Jamy, ja też zostaję w
szkole przez wakacje. Modliłam
się, żeby móc pojechać do domu,
lecz już dawno zdałam sobie
sprawę, że Pan Bóg wie, kiedy
lepiej nie spełniać naszych
prośb. Teraz jestem zadowolona z
tego, że zostałam.

- Ale dlaczego?

- Bo mnie potrzebujesz -

odrzekła Heidi. - Nie miałybyś nikogo bliskiego, gdyby mnie nie było. Razem możemy wspaniale spędzić ten czas. Będziemy chodzić z Monsieur Rochatem na górskie wycieczki. Najpierw wybierzemy się na Skały Naye i spędzimy noc w schronisku Saaudoz, żeby stamtąd patrzeć na wschód słońca. Nawet nie wiesz, jak jest pięknie, kiedy góry wyglądają jak ogarnięte płomieniem! Możemy zbierać różne kwiaty, a później przepłyniemy jezioro małym stateczkiem i wdrapiemy się na górę zwaną Zębem Ochesa. Monsieur Rochat mógłby nas nawet zabrać do schroniska Świętego Bernarda i zobaczyłybyśmy pamiątki po armii Napoleona. Zakonnicy mieszkają tam przez okrągły rok razem z ogromnymi psami, które odnajdują zasypanych śniegiem wędrowców. Te psy uratowały życie wielu ludzi zagubionych w górach. Jest poza tym masa rzeczy do zwiedzenia. Choćby kopalnie soli w Bex i piękna jaskinia Świętego Maurycego, zwana "grota rusalek". Mówię ci, że będziemy miały piękne lato i nie zdążymy zatęsknić za domem!

Heidi była pełna entuzjazmu, a

mówiła z takim ożywieniem, że Jamy mimo woli przejęła ten nastrój i poweselała.

- A dlaczego to jest grota rusalek? - zapytała.

- Bo długi korytarz we wnętrzu góry prowadzi do podziemnego jeziora. To Monsieur Rochat powiedział mi o tym. Wejście jest małe i wąskie. Docierasz tam, wdrapując się na strome wzgórze nad brzegiem Renu. Na szczycie stoi mały domek zamieszkały przez zakonnice i jest tam przewodnik, który oprowadza zwiedzających. Dostajesz także lampę, aby oświetlić sobie drogę w podziemnym przejściu - wyjaśniła Heidi.

- A gdzie są rusalki? - dopytywała się Jamy.

- Ich nie można zobaczyć, za to je usłyszymy - odparła z tajemniczą miną Heidi. - Mają pieczarę w głębi góry, ale nikt nie wie, gdzie jest wejście. Jeśli przyłoży się ucho do skalnej ściany, to słyszc uderzenia bębna. Mówią ludzie,

że to ostrzeżenie dla ciekawskich, którzy chcieliby wejść do ich kryjówki. Monsieur Rochat twierdził, że dźwięk bębna jest zupełnie wyraźny.

- A ty wierzysz w rusalki? - spytała Jamy, której nastrój zdecydowanie się poprawił.

- Niezupełnie, ale dziadek zna mnóstwo legend i ludowych podań, a ja za nimi przepadam.

- Och, ja też lubię opowieści - przyznała Jamy.

- Może kiedyś przyjedziesz do Dorfli, aby mnie odwiedzić, to wtedy posłuchasz dziadkowych gawęd.

- Nie masz chyba zamiaru spędzić całego życia w Dorfli? - spytała Jamy, z niedowierzaniem patrząc na przyjaciółkę.

- Dlaczego nie? - zdziwiła się Heidi.

- Po jakimś czasie poczujesz się osamotniona i odcięta od reszty świata... jak... pustelnik lub zakonnica!

- Odcięta od świata w górach?!
Przenigdy! - zawołała Heidi. -
Nic na świecie nie sprawia mi
tyle radości, co wyprawa w góry
z Piotrkiem, kiedy pasie kozy.
Możesz myśleć, że to dziwactwo,
ale kiedy człowiek odkryje takie
piękno, boi się je utracić i
chce zachować na resztę życia.

- To tylko zwykła wyprawa w
góry - próbowała oponować Jamy.
- Jaki z niej pożytek? Co ci tam
przyjdzie z twego wykształcenia?

- Będę się nim dzielić -
odparła pogodnie Heidi. -
Postaram się nauczyć dzieci w
Dorfli tego wszystkiego, co sama
umiem. Jak szyć, gotować, robić
na drutach - może nawet jak
malować obrazy i grać na
skrzypcach. Och! Zobaczysz! Nie
będę próżnowała! Może nawet
poproszę cię o pomoc.

- Bardzo chciałabym tam
pojechać. W każdym razie choć na
trochę - powiedziała Jamy. - Ale
nie przypuszczam, żeby tatuś mi
pozwolił. On cały czas myśli o
bywaniu we właściwych sferach i
poznawaniu odpowiednich ludzi.
Kiedy dobrze opanuję język
angielski i francuski, to pomogę

mu w ambasadzie, tego ode mnie oczekuje. A potem będziesz przyjeżdżała do mnie w gości - do Budapesztu, Wiednia lub Berlina. Może nawet do Paryża czy Londynu.

- Może - przyznała z powątpiewaniem Heidi. - Monsieur Rochat twierdzi, że powinnam kontynuować studia muzyczne w Paryżu. Ja jednak nie jestem wcale pewna, czy chciałabym mieszkać w Paryżu, kiedy wszyscy, których najbardziej kocham, są w Dorfli.

VI. Dobra wiadomość

Rozdział VI

Dobra wiadomość

Kiedy przyjaciółki rozmawiały przy bramie wejściowej, na końcu ścieżki pojawiła się Mademoiselle Raymond i zawołała Heidi. Machała ręką, aby zwrócić jej uwagę, lecz nie podniosła głosu. Mademoiselle Raymond nigdy nie podnosiła głosu, bez względu na to co się działo.

- Heidi! Heidi! Gdzie jesteś?
Ach, tutaj! Podeszła do bramy i spytała z troską w głosie: - Heidi, czy twoja wioska leży bardzo wysoko w górach? Czy idzie się tam pieszo, czy dojeżdża na mułach? Ile to godzin drogi z Mayenfeld?

- Pani, Mademoiselle, zajmie to osiem godzin - odparła Jamy.

- Nie bądź zuchwałą! - skarciła dziewczynkę nauczycielka. - Heidi, odpowiadaj!

- Proszę mi wybaczyć, Mademoiselle - powiedziała łagodnie Jamy. - Omawialiśmy właśnie nasze plany wakacyjne i dlatego było nam bardzo wesoło.

- Myślę, że pieszo zajmie to dwie lub trzy godziny -

oświadczyła Heidi.

- Mówisz, pieszo! - zawołała Mademoiselle. - Czy nie ma łatwiejszego sposobu dotarcia tam?

- Naturalnie - przyznała dziewczynka. - Można w Mayenfeld wynająć pocztową bryczkę.

- Dzięki Bogu! Dlaczego nie powiedziałaś tego od razu!

Mademoiselle westchnęła z ulgą. Tymczasem Heidi czekała przepelniona ciekawością na jakieś wyjaśnienie. Gdy zobaczyła, że nauczycielka odwraca się i odchodzi bez słowa, pobiegła za nią wołając:
- Przepraszam, Mademoiselle, ale czy mogę zapytać, dlaczego zadawała pani te pytania?

- Czy ma pani zamiar spędzić wakacje w Dorfli? - zakrzuszyła się ze śmiechu Jamy.

- Boże uchowaj! Ale ty jesteś dziś nieznośna. Wyraźnie sprawiają ci przyjemność żarty z mojej osoby - zganiała uczennicę stara panna. - Może będę zmuszona pojechać do Dorfli, a

nie jestem już taka młoda jak wy.

Jamy zawstydziała się swoich kpiniek i nie odezwała się więcej, lecz Heidi nadal płonęła ciekawością.

- Dlaczego pani będzie musiała jechać do Dorfli? - dopytywała się. - Czy coś się stało z moim dziadkiem? Może ktoś zachorował?

- Nie martw się, moje dziecko. Twój dziadek i ojciec chrzestny oraz wszyscy przyjaciele w Dorfli, o ile wiem, mają się dobrze. Nie chciałam cię niepokoić - dodała nauczycielka.

- Więc co się stało? - nastawała Heidi.

- Mademoiselle Larbey powie ci o tym sama, kiedy uzna to za stosowne. Po tych słowach oddaliła się, pozostawiając obie dziewczynki równie zdziwione i podekscytowane jak poprzednio.

- Czy rozumiałaś coś z tego? - zapytała Heidi.

- Niewiele - przyznała Jamy. - Wydaje mi się, że wezwano cię do

domu. Dla mnie to nic dobrego. Wygląda na to, że wszystkie nasze plany ulegną zmianie i zostanę tu sama na całe lato.

- Naprawdę myślisz, że mój ojciec chrzestny o tym pisał do dyrektorki? - zastanowiła się Heidi.

- Jestem pewna. Mademoiselle Raymond zawiezie cię prawdopodobnie do Dorfli i dlatego jest taka zaniepokojona. Mam nadzieję, że przyjemnie spędzisz wakacje - dodała Jamy ze smutkiem.

Heidi milczała. Szczerze pragnęła zobaczyć dziadka i doktora. Wiedziała, że Piotrek za nią tęskni i czeka, kiedy wspólnie wyprawią się na górskie pastwisko. Nie chciała jednak opuścić przyjaciółki. Przecież ona nie ma nikogo, kto by martwił się, czy jest szczęśliwa, czy nie! Trzymając się za ręce wróciły do szkolnego budynku. Heidi przekonała się później, gdy poszła na stałą godzinę gry na skrzypcach, że muzyka brzmi smutno i słodko. Miała wrażenie, że jezioro, góry i wszyscy bliscy coś do niej

wołali.

- Bardzo dobrze dziś grasz -
zauważył Monsieur Rochat. Ale
Heidi nie miała wcale wrażenia,
że gra. Same skrzypce wydawały
te słodkie dźwięki.

Znajdowała się pod wrażeniem
muzyki jeszcze wtedy, gdy
wieczorem Mademoiselle Larbey
podeszła do niej i oświadczyła:

- Moje dziecko, mam dla ciebie
wiadomość od twego ojca
chrzestnego. Zechcesz przyjść do
mego gabinetu?

Jamy spojrzała na koleżankę
jakby chciała powiedzieć: -
Nareszcie dowiesz się, co było w
tym liście.

Heidi poważna i skupiona,
podążyła za dyrektorką przez
długi hall. Po dziesięciu
minutach wyszła stamtąd, szybko
zamykając za sobą drzwi. Po czym
biegła przez hall i schody jak
górska kozica, a wpadając do
pokoju, zawołała:

- Jamy! Jamy! Jedziemy razem
na sierpień do Dorfli! Doktor
prosił o to Mademoiselle Larbey.

Wówczas zatelegrafowała do
twojego ojca i on się zgodził.
Czy to nie wspaniałe? Gdzie jest
moja walizka? Co mam ze sobą
wziąć? Pewnie niewiele, bo w
domu mam bardziej odpowiednie
ubranie.

Jamy oparła się o ścianę
kompletnie ogłuszona. Przez
chwilę nie mogła przemówić ani
poruszyć się. Heidi chwyciła ją
za ramiona i powtórzyła:

- Jedziesz ze mną, czy tego
nie rozumiesz? Wyjeżdżamy jutro
rano. Mademoiselle Raymond
zawiezie nas aż do Dorfli, gdzie
będzie na nas czekał doktor.
Prawdopodobnie przenocujemy u
niego w domu, a pojutrze rano
pójdziemy w góry razem z
Piotrkiem.

- Dlaczego milczysz? -
spojrzała na przyjaciółkę
zaniepokojona Heidi. - Nie
cieszysz się?

- Heidi najdroższa! Jestem
taka szczęśliwa, że brak mi słów
- odparła Jamy. Wkrótce jednak
odzyskała głos i nic nie było w
stanie przerwać potoku jej
wymowy. Cały wieczór paplały

jedną przez drugą i pakowały walizki. Gdyby Jamy posłuchała Heidi, to zabrałaby ze sobą tylko kilka sztuk bielizny i płócienną sukienkę. Wyglądało na to, że ludzie w Dorfli nie noszą bucików, kapeluszy, czy płaszczy. Na szczęście Mademoiselle Raymond dopilnowała pakowania. O dziesiątej trzydzieści bagaże zostały zniesione na dół do hallu i w pokoju zapanowała względna cisza. Tylko od czasu do czasu, z jednego lub drugiego łóżka, dochodził słaby pomruk.

- Pamiętałaś o lasce? - albo -
Gdzie włożyłam domowe pantofle?
- Czy w Dorfli dostanę
widokówki, by je wysłać do
rodziców?

O północy nastał spokój i słychać było tylko lekkie oddechy śpiących dziewczynek. Jednak nie wszystkim dane było tej nocy zasnąć. Mademoiselle Raymond przeżywała męki. Dyrektorka poleciła jej odwiedzić dziewczynki aż do Dorfli. Na pewno nie uda się wrócić tego samego dnia i wypadnie tam przenocować. Dla biednej kobiety była to prawdziwa udręka,

nieszczęście, czy wręcz katastrofa. Jako osoba nie pierwszej młodości, z przerażeniem myślała o konieczności dotrzymania kroku dwóm rozdokazywanym pannicom. Ponadto zachowała w pamięci ubiegłoroczną wycieczkę do Simplon, kiedy to przemokła do suchej nitki i drżała z zimna. Teraz wydała głębokie westchnienie, gdy pomyślała o ciężkich, podkutych butach, grubej spódnicy, obszernej pelerynie i filcowym kapeluszu. Postanowiła też zabrać olbrzymi parasol. Pamiętała również o wełnianym szalu, a w podręcznej torbie starannie zapakowała flanelową lizeskę i czepek - choć Mademoiselle jako żywo nigdy w czepku nie sypiała! Postanowiła jednak mieć się na baczności i nie ryzykować w niebezpiecznym, górskim klimacie.

VII. Znowu w domu

Rozdział VII

Znowu w domu

Zaczynał zapadać letni zmierzch, gdy obie dziewczynki opuściły stację kolejową w Mayenfeld i weszły na wąską drogę. Początkowo biegła ona łagodnym zboczem, lecz im bliżej Dorfli, tym bardziej stawała się stroma.

Mademoiselle Raymond ostatecznie nie była zmuszona do długiej wspinaczki. Uzyskała solenne zapewnienie, że dziewczynki dotrą do wsi przed zapadnięciem mroku, a trasa jest bezpieczna i nic im nie grozi. Z westchnieniem ulgi pozostała na dworcu w oczekiwaniu na najbliższy pociąg do Lozanny.

Na pierwszym zakręcie Heidi i Jamy zatrzymały się, by popatrzeć na piękne widoki. Widać było stąd całe Mayenfeld z czyściutkimi, niskimi domami,

wysokimi wieżami kościołów i
ruchliwymi ulicami.

Pędzono do domu stado gęsi, to

znowu wóz zaprzężony w woły
toczył się po drodze. Były też
eleganckie powozy, a z daleka
dochodził gwizd lokomotywy,
ruszającego ze stacji pociągu.
Unosiła się nad nim chmura
białego dymu, wolno rozścielając
się nad doliną. Powyżej
miasteczka znajdowały się bujne
łąki ze stadami bydła i kóz - a
nad nimi skały i wysokie jodły,
znowu skały i znowu jodły.

- Widok stąd nie jest zbyt
wesoły - zauważyła Jamy, gdy od
nowa podjęły wspinaczkę.

- Poczekaj! - odpowiedziała
Heidi.

Kiedy weszły wyżej, powietrze
stało się ostrzejsze, przepojone
zapachem kwiatów i ziół. Łąki
zachwycaly różnorodnością barw.
Za zakrętem nieoczekiwanie
zobaczyły oświetlony ostatnimi
promieniami słońca masyw
Falknis. Wznosił się ponad
innymi wierzchołkami,
majestatyczny i zachwycający

odbijał ośnieżonym szczytem cały blask niebios. Heidi stanęła na środku drogi i łzy radości napłynęły jej do oczu na widok ukochanej góry.

- Ależ to piękne! - zawołała Jamy. - Wydaje się, że nawet śnieg płonie. Teraz zaczynam rozumieć, dlaczego tak kochasz Alpy!

Stały w milczeniu, patrząc na niebo, dopóki nie przygasły wieczorne zorze. Naraz zdały sobie sprawę, że zrobiło się późno i przyspieszyły kroku. W pewnej chwili Jamy zatrzymała się zdyszana i przycisnęła dłoń do szyi.

- Och, Heidi! - wykrzyknęła. - Zgubiłam coś!

- Twój złoty krzyżyk! - zmartwiła się Heidi widząc, że przyjaciółce brakuje ozdoby. Zwykle nosiła go na wąskiej, aksamitnej wstążce, związanej z tyłu na supełek i mocno wytartej. Widocznie aksamitka pękła i krzyżyk gdzieś upadł.

- Za nic w świecie nie chciałabym go stracić! - jęknęła

Jamy. - Należał do mojej babki i prosiła mnie, żebym go zawsze nosiła przy sobie. Była dla mnie tak dobra, jak twój dziadek dla ciebie. Teraz jednak przepadł, a to była jedyna pamiątka po niej. Och, co teraz zrobimy! Mój śliczny krzyżyk!

I Jamy rozszlochała się na dobre. Usiadła na wystającym bloku skalnym i płakała tak, jakby jej rozrywano serce. Na nic się zdały pocieszenia Heidi. Rozglądały się dokoła, a nawet wróciły do Mayenfeld, sprawdzając uważnie przebytą drogę. Pożyczyły małą latarnię i rozpoczęły poszukiwania od nowa. Lecz nigdzie nie było śladu krzyżyka ani aksamitnej wstążeczki.

- To nie ma sensu - stwierdziła w końcu Jamy. - Przepadł i nigdy go nie odnajdę. Nie mówmy o tym więcej i spróbujmy spędzić przyjemnie wakacje.

Tym razem, kiedy szły pod górę w stronę wsi, Heidi nawet nie próbowała okazywać współczucia. Obie były zbyt zmęczone i przygnębione. Nagle, wysoko nad

ich głowami, rozległo się wesołe
jodłowanie. Dziewczynki
podniosły w górę latarenkę, lecz
nikogo nie mogły dojrzeć.
Widziały tylko ścieżkę wijącą
się zygzakowato, między wysokimi
krzakami i sterczącymi głazami.

- Och, Heidi, spójrz tam!
Spójrz, tam w górze! Och, co to
jest? - zawołała uradowana Jamy,
zapominając o stracie.

Zanim Heidi zdążyła się
odwrócić, cztery kozy zeskoczyły
ze zbocza. Za nimi widać było
wiele innych. Każda miała na
szyi malutki dzwoneczek i ze
wszystkich stron dochodziło
delikatne brząkanie. Za chwilę
pasterz wyszedł zza zakrętu,
tańcząc wśród brykających kóz i
śpiewając po francusku pełnym
głosem:

"Wysoko w górach stoi nowa
chata@ Jean odważny i wierny,@
zbudował ją sa_a_m!@ Wysoko w
górach stoi nowa chata..."@

Po czym rozległo się dźwięczne

jodłowanie. Śpiewak podskakiwał i ślizgał się na bosych stopach, tak samo lekko i zręcznie jak jego kozy i niebawem znalazł się obok dziewczynek.

- Dobry wieczór! - Powitał je wesoło, przyglądając się ciekawie. Heidi rozpoznała go pierwsza i rzuciła mu się w ramiona.

- Piotrek!

- Heidi! - wykrzyknął pasterz.
- Nigdy nie przypuszczałem, że cię tu spotkam. Mama i doktor wyczekują was od kilku godzin.

- Spóźniłyśmy się - zaczęła Heidi, lecz zobaczyła, że Jamy kładzie palec na ustach, jakby chciała powiedzieć: "Nie mów nic o tym. Nie warto psuć nastroju z powodu zguby".

- Spóźniłyśmy się po prostu, a ty Piotruku? - spytała. -
Dlaczego przebyłeś taki kawał drogi aż do Mayenfeld?

- Mam kilka nowych kóz w stadzie - odrzekł chłopiec. -
Należą do dyrektora szkoły i prowadzę je do obory w

Mayenfeld. Ta jedna jest chyba za mała na taką wyprawę. Wziął na ręce małe, białe kozłę i pogłaskał po łebku. - Biedna mała Beksunia - ciągnął dalej, zwracając się do kózki. - To był bardzo długi dzień. Czy góra nie była dla ciebie zbyt stroma?

- Jak nazwałeś tę kózkę? - spytała Jamy podchodząc do Piotrka.

- Beksunia - to znaczki mała kózka, która pobekuje. Wszystkie kozy mają imiona i każde coś oznacza.

- Heidi mówiła mi o Białasce i Burasce należących do jej dziadka. Czy są w twoim stadzie?

- Dzisiaj nie - odparł Piotrek. Jeżeli jutro wybierzesz się w góry razem z nami, będziesz mogła je zobaczyć.

- Pójdę tam z przyjemnością! - zawołała Jamy. - A zaśpiewasz w całości tę śliczną piosenkę o górskiej chatce?

- Jeżeli Heidi zagra na skrzypcach...

- Naturalnie. To ja nauczyłam cię tej piosenki, kiedy doktor miał z nami lekcje francuskiego. I gram na skrzypcach zawsze, kiedy mnie o to poprosisz.

- Tak było, zanim pojechałaś do szkoły - zachmurzył się chłopiec.

- Phi! - Myślisz, że chciałam wyjechać? To dlatego, że nasz nauczyciel był taki okrutny - wyjaśniła pośpiesznie. - Czy może się zmienił?

Piotrek przecząco pokręcił głową.

- Przypuszczam, że on się nigdy nie zmieni - stwierdziła Heidi. - Widzisz, Jamy - ciągnęła, zwracając się do przyjaciółki - muszę po prostu dużo się uczyć, aby samej pracować w tej szkole.

Kiedy doszli do Dorfli, Piotrek poszedł wprowadzić kozy do obórki, zaś Heidi i Jamy popędziły w stronę domu. Na progu czekał na nie doktor. Czule uściskał Heidi, a Jamy powitał przyjaznym uśmiechem. Heidi natychmiast zażądała nowin

o dziadku i uradowała się
ogromnie słysząc, że jest zdrowy
i ma się dobrze. Doktor tak
zaplanował wyprawę, aby sprawili
mu niespodziankę, przybywając
rano na halę.

Brygida przygotowała kolację
składającą się z sera i
suszonego mięsa, a Piotrek
przyniósł dzbanek świeżego,
koziego mleka. Niebawem wszyscy
zasiedli do posiłku.

- Jedz Piotrusiu - powiedziała
doń matka. - Musisz być bardzo
głodny.

Chłopiec usiadł przy stole i
nałożył sobie na talerz duży
kawał sera. Podczas kolacji
prawie nie odzywał się. Za to
Heidi miała tyle do opowiedzenia
o życiu w szkole i drobnych
przygodach w podróży, że nikt
nie zwrócił uwagi na jego
milczenie. Wieczór upłynął
niezwykle szybko.

Wczesnym rankiem zbudziły Jamy
dźwięki pieśni rozlegające się
na wiejskim placu.

- To musi być Piotrek! -
zawołała. Wskoczyła z łóżka i

podbiegła do Heidi stojącej przy oknie. Zobaczyły kozłarza o policzkach zaróżowionych w porannym słońcu, idącego pod górę w otoczeniu małej, koziej armii. Trzasnął batem i podniósł do ust róg. Z otwartych drzwi obórek wybiegały inne kozy i dołączały do stada.

- Spieszcie się, spieszcie, jeżeli chcecie iść razem z doktorem i Piotrkiem! Ubierajcie się prędko! - popędzała dziewczynki Brygida.

- Zaraz będziemy gotowe - powiedziała Jamy, sznurując stanik koszuli. - Chciałabym, żeby pasterz zaśpiewał dziś dla mnie całą piosenkę.

Dziesięć minut później doktor, Jamy i Heidi przyłączyli się do Piotrka i jego stada, w którym teraz znajdowały się wszystkie kozy z Dorfli.

Piotrek zadał w róg i ruszyli pod górę. Delikatne, poranne chmurki przesłaniały jeszcze niebo, a górskie powietrze, świeże i słodkie, chłodziło twarze podczas wspinaczki. Im wyżej wchodzili, tym piękniejsze

roztaczały się widoki. Od czasu do czasu Piotrek spoglądał ukradkiem na Heidi, sprawdzając, czy szkoła jej nie zmieniła. Uśmiechał się zadowolony, gdy stwierdzał, że wygląda wciąż tak samo.

Dla Jamy wszystko dokoła było nowe i nieustannie zadawała pytania: to o wieczne śniegi, a to o nazwy napotykanych kwiatów. Nade wszystko zaś interesowały ją orły, o których Heidi tak często opowiadała.

Nagle doszli do zakrętu ścieżki i znaleźli się na wprost chaty dziadka.

- Jest dokładnie taka, jak mówiłaś! - zawołała z radością Jamy i w podnieceniach mocno uścisnęła koleżankę. Heidi jednak ujrzała już dziadka i uwolniwszy się z objęć przyjaciółki, puściła się pędem w jego stronę.

- Dziadku! Dziadku! - zawołała. Jestem w domu! Twoja wnuczka jest w domu!

Starzec odwrócił się na ławce, przetaił dłonią oczy, chcąc się

upewnić, że mgła nie przesłania mu wzroku. Najpierw rozpoznał doktora. Potem zobaczył Heidi i twarz rozjaśnił mu uśmiech, a łzy szczęścia potoczyły się jedna za drugą po pomarszczonych policzkach. Dziewczynka już była przy nim i wyściskała mocno, zanim przedstawiła Jamy,

- Jak ci się podoba moja niespodzianka? - spytał doktor, ściskając dłoń starego przyjaciela. - Obie przyjechały tu na miesiąc. Wiem, że Heidi będzie chciała pobyc trochę z tobą, ale później mają zamiar pójść na górne pastwiska.

- Ach! To doskonale! - ucieszył się dziadek. - Chodź Piotrek, wydój moje kozy i zrobimy sobie coś do jedzenia.

Heidi już usadowiła się obok dziadka na ławeczce i czule przytuliła głowę do jego ramienia.

- Czy wiesz - powiedział staruszek, głaszcząc jej miękkie włosy - czy wiesz, że najmilszym dla mnie dniem jest wtorek, kiedy Piotrek przynosi mi twój list. Jakże jestem szczęśliwy,

że cię widzę! Powiedz mi, czy ciągle masz zamiar uczyć w Dorfli po skończeniu szkoły? Czy to prawda, że chcesz pozostać ze mną?

- Oczywiście, dziadku - odparła z uśmiechem Heidi. - Chcę pozostać w Dorfli przez resztę mego życia.

Jamy obrzuciła ją dziwnym spojrzeniem, jakby chciała powiedzieć: "Zmienisz swoje zamiary", ale Heidi była zbyt szczęśliwa, by cokolwiek zauważyć. Tylko Piotrek je przechwycił i wyczytał z niego nawet więcej, niż Jamy miała na myśli.

Doktor pozostał z dziadkiem, aby dotrzymać mu towarzystwa, podczas gdy dziewczynki wyprawiły się na pastwisko. Niebawem dotarli do miejsca, gdzie Piotrek pasał stado. Był to mały, zielony płaskowyż, wystający nieco ze zbocza, z którego rozciągał się widok na całą dolinę. Tutaj chłopiec spędzał długie godziny, wpatrując się w dal i pogwizdując od czasu do czasu,

gdy kozy szczypały słodką trawę.

Dziś starannie umieścił swój obiad w wykopanej przez siebie małej ziemiance i przekonał dziewczynki, żeby zrobiły to samo. Potem wyciągnął się na trawie, ciesząc się słońcem i czystym powietrzem.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 0

Niebo było ciemnoniebieskie. Wszędzie dokoła wystrzelały wysokie, górskie szczyty, błyszczące od śniegu i lodu; zaś w dole, w głębokiej dolinie, ciągle jeszcze leżały poranne cienie. Heidi i Jamy, siedząc obok siebie na tym płaskim wzniesieniu, czuły na twarzach uderzenia wiatru, ostre i chłodne. Ponad ich głowami, po błękicie nieba, krążyły ptaki.

Beksunia, nowa pupilka Piotrka, podeszła do dzieci i ocierała się łebkiem, wydając przy tym przyjazne pobekiwania. Jedna za drugą podchodziły i inne kozy, by zawrzeć przyjaźń. Jamy była w siódmym niebie.

Buraska, ciemniejsza z dwu kóz dziadka, oglądała każdego z osobna z lekkim niepokojem.

Potem stanęła nieruchomo i wpatrywała się w obecnych, dopóki jej nie powiedziano: "Tak, tak Burasko, wszystko w porządku. Możesz wrócić do stada".

Piotrek wymieniał imiona wszystkich kóz i Jamy nie mogła się nadziwić, jak udaje mu się je odróżnić. Te kozie imiona wydawały się trudniejsze do zapamiętania, niż szkolna lekcja historii.

Kiedy już wszystkie kozy zostały przedstawione, rozpoczęły zabawę. Białaska i Szczygiełka rzuciły się na Piotrka i bodły go tak długo, dopóki nie rozciągnął się na trawie jak długi. Grzmotka, matka Beksuni, była szalenie dumna. Zbliżała się do obcych na odległość kroku i oglądała ich tak, jakby chciała powiedzieć, że nie będzie żadnych poufałości, a potem oddalała się dostojnym krokiem.

Turek - najstarszy kozioł w stadzie i dlatego przekonany o swej ważności - bódł rogami kozy, usuwając je w ten sposób z drogi. Następnie stawał i głośno

beczał, aby podkreślić, że to on jest przywódcą stada i będzie wszystkich trzymać krótko. Jedna Beksunia nie pozwalała sobą pomiatać. Kiedy wielki, szary kozioł podchodził do niej, chowała się za Piotrka. Tam czuła się zupełnie bezpiecznie, lecz gdy spotykała Turka samotnie, to drżała na całym ciele.

I tak minął słoneczny poranek. Piotrek wyjął swój obiad i zajadał go w milczeniu, wsparty na pasterskiej lasce. Dziewczynki rozpakowały prowiant przygotowany przez dziadka i też zabrały się do jedzenia.

Po posiłku Piotrek zdecydował, że wypróbuje nowe wejście na wyższe zbocze, na które chciał po południu przeprowadzić swoje stado. Wybrał ścieżkę z lewej strony, bo tam znajdowała się łąka z małymi krzaczkami, które kozy sobie szczególnie upodobały. Podejście było strome, zwłaszcza na samej górze. Także wzdłuż obrzeża skały znajdowało się kilka niebezpiecznych miejsc. Ale Piotrek dobrze znał góry i miał nadzieję, że kozy będą szły za

nim posłusznie, nie rozbiegając się na boki.

Szedł przodem, a dziewczęta ostrożnie za nim. Kozy pokonywały trudne miejsca bardzo łatwo i wspinały się jedna za drugą. Malutka Beksunia trzymała się blisko pasterza. Od czasu do czasu chwycił ją za skórę na karku i podciągał po skalnej stromiźnie. W końcu wszyscy bezpiecznie doszli na łąkę i stado zaczęło skubać ulubione trawy i krzewy.

Jamy wstrzymała oddech w piersi, kiedy wreszcie znalazła się na szczycie czegoś, co wydawało się zupełnie odrębnym światem. Czegoś tak pięknego nie mogła sobie nawet wyobrazić. Powietrze przepelniał zapach alpejskich kwiatów, które rosły tu wszędzie: górskie storczyki, gencjany o postrzępionych płatkach, małe, niebieskie dzwoneczki dzikich hiacyntów, pierwiosnki i żonkile. Zebrała dla siebie cały bukiet skalnych, złocistych wdówek.

- Zwiędną ci, zanim doniesiesz je do domu - powiedziała Heidi.
- Ale jeśli chcesz, to dziadek

ci je zasuszy.

Patrzyła, jak Jamy zbiera inne jeszcze kwiaty do fartuszka i przypomniała sobie, że robiła kiedyś to samo na tej właśnie górze. Jej bukiet też szybko wówczas zwiędł i stracił swe wspaniałe barwy.

- Ostrożnie, ostrożnie, tutaj
- upominał Piotrek kozy. -
Bądźcie spokojne i nie popychajcie jedna drugiej, bo zaraz któraś znajdzie się na dnie przepaści z połamanymi nogami. Szczygiełko, a dokąd ty się wybierasz - zawołał, spoglądając w górę.

Szczygiełka wdrapała się na stromy skalny występ, pod którym była tylko głęboka przepaść. Stała tam i zerkąła na kozłarza z wyzwaniem, jakby mówiła: "Widzisz, jaka jestem odważna! Potrafię stanąć przy samej krawędzi!" Jeszcze jeden ruch i zwierzę spadnie! Piotrek wdrapał się tak szybko, jak potrafił - w kilka sekund dosięgnął występu, chwycił niesforną Szczygiełkę za jedną nogę i ściągnął z powrotem. Heidi znajdowała się tuż za nim, pamiętając, że ta

właśnie koza zawsze sprawiała mu kłopoty. Razem trzymali zwierzę, dopóki chłopiec nie upewnił się, że zajmie się skubaniem trawy, a nie kolejną niebezpieczną eskapadą.

- Ale gdzie się podziała Beksunia? - zawołała Jamy. Grzmotka, matka maleństwa, stała zupełnie sama, wpatrując się w brzeg stromizny. Jamy już się zorientowała, że kozłátko jeśli nie było przy Piotrku, to trzymało się blisko matki.

- Co zrobiłaś z dzieckiem, Grzmotko? - spytała Heidi ze strachem, podbiegając do kozy.

Grzmotka zachowywała się dziwnie. Nie jadła trawy, tylko stała, nasłuchując z wysuniętymi do przodu uszami.

Piotrek spojrział w dół. Usłyszał dochodzące z głębiny słabe, smutne beczenie... wątki, piskliwy głosik proszący o pomoc.

- Nie płacz Beksuniu, już idę po ciebie! - zawołał chłopiec tak, jakby zwracał się do dziecka. Wyciągnął się jak mógł

najdalej na brzuchu i spojrział
ponad brzegiem urwiska. Daleko w
dole coś poruszało się. Po
chwili zobaczył swą małą pupilkę
zwisającą z gałęzi wyrastającej
ze skalnej szczeliny. Kozłatko
żałośnie beczało. Gałąź
złagodziła jego upadek, ale
jeśli się złamie, to zwierzę
spadnie i rozbije się o skały.

Drżąc z niepokoju, Piotrek
zawołał: - Trzymaj się Beksuniu!
Trzymaj się gałęzi! Schodzimy po
ciebie!

Ale jak tam dotrzeć? Chłopiec
natychmiast spostrzegł, że z
tego miejsca nie ma żadnych
szans na zejście. Zbocze skały
było wręcz idealnie gładkie i
nie dawało żadnego oparcia
stopom. Heidi wskazała poniżej,
na skałę, którą nazywali
"deszczową skałą", ponieważ
oboje często znajdowali tam
schronienie w czasie burzy. Może
Piotrek dostanie się do Beksuni,
jeżeli zacznie wspinać się
stamtąd.

3 3 64 0 2 108 1 ff 1 74 1
Był to dobry pomysł i chłopiec
bez wahania ruszył ścieżką w
dół.

- Jamy pilnuj kóz. Idziemy ratować Beksunię! - zawołała Heidi, biegnąc za nim.

Zauważyła, jak bardzo przywiązany jest do koźlęcia, dlatego modliła się z całego serca: "Dobry Boże, proszę Cię, pomóż Piotrkowi uratować małą Beksunię".

On zaś odważnie wspinał się po zboczu ani razu nie spoglądając w dół, dopóki nie znalazł się w pobliżu gałęzi. Tutaj oparł mocno obie stopy o skałę i wyciągnąwszy rękę chwycił drżące ze strachu zwierzę i podał stojącej w pobliżu Heidi.

Kiedy wrócili na łąkę, Piotrek nie posiadał się z radości, a Heidi odmówiła modlitwę dziękczynną. Potem usiedli na trawie, aby pieszczotami uspokoić przestraszone koźlę.

Nadeszła pora zejścia do domu, więc poszli z powrotem do Jamy, pilnującej resztę stada. Bardzo była z siebie dumna, bo żadna z kóz nie oddaliła się z bezpiecznej łąki.

Na dźwięk rogu kozłarza
wszystkie kozy wyruszyły w
drogę. Beksunię niósł Piotrek na
ramieniu. Był tak szczęśliwy, że
odśpiewał w całości swą ulubioną
piosenkę. Uradowana Jamy
oświadczyła, że prosi go bardzo,
aby śpiewał ją ciągle od
początku, by mogła nauczyć się
słów na pamięć.

Heidi miała załatwić coś
dziadkowi we wsi, poszły więc
obie ze stadem aż do Dorfli.
Tutaj pasterz zatrzymał stado
obok wiejskiej studni i znowu
zagrał na rogu. Natychmiast z
różnych stron zaczęły nadbiegać
dzieci i oddzielać swoje kozy od
innych. Z okolicznych domów
wychodziły kobiety; jedna wzięła
swoją kozę za rogi, druga
zawiązała swojej sznurek na szyi
i nie wiadomo kiedy, nie
pozostało po stadzie ani śladu.

Piotrek rozstał się z
dziewczynkami i śpiewając
poszedł do domu. Heidi
załatwiła, co miała do
załatwienia i obie z Jamy
zaczęły wspinać się z powrotem
na górę. Całą drogę rozmawiały
wesoło i wychwalały Piotrka pod
niebiosa.

VIII. Umowa z Gerardem

Rozdział VIII

Umowa z Gerardem

- Dziadku - poprosiła Heidi, gdy wieczorem usiedli do kolacji. - Czy nie zechciałbyś opowiedzieć Jamy jednej z tych wspaniałych historyjek? Obiecałam jej, że przed powrotem do szkoły będzie znała prawie tyle samo starych legend co ja.

- Te podania są bardzo długie
- odrzekł dziadek - a wy macie za sobą ciężki dzień na pastwisku. Zachowam moje opowieści na deszczowe dni. Poza tym - dodał - coś mi mówi, że jutro będzie padało.

Halny Stryjek rzadko się mylił
w przepowiadaniu pogody. Tak
więc następnego ranka, choć
niebo było czyste, Piotrek
wyszedł trzymając pod pachą
deszczowiec, a dziewczynki
pozostały w domu.

Okolo południa ciężkie chmury
zasnuły niebo i rozpętała się
burza. Kozłarz znalazł
schronienie dla siebie kóz jak
zwykle pod "deszczową skałą". Ku
swemu zdziwieniu zastał tam
innego pasterza, choć bez stada.
Był to Gerard z Ragaz. Obaj
chłopcy stali przez chwilę
zaskoczeni, lecz zaraz powitali
się serdecznym "cześć!"

- Nie wiedziałem, że
przychodzisz z kozami aż tutaj -
powiedział przybysz do Piotrka.

- Tylko czasami - odparł
Piotrek. - Zwykle pozostaję na
pierwszym pastwisku albo gdzieś
w pobliżu. A czego ty tu
szukasz?

- Chciałem się z tobą
zobaczyć. Mam wziąć
od ciebie
dwie kozy i zaprowadzić je do

Ragaz na sprzedaż.

- To twoje kozy? - zapytał Piotrek.

- Pewnie, że należą do nas. Ja nie pasę kóz dla kogoś. Już nie jestem pastuchem - oznajmił z dumą Gerard.

Piotrek zdziwił się. Skoro raz mianowano Gerarda pasterzem, to jak mógłby przestać nim być. Jeszcze słyszy, że on uważa to zajęcie za mało ważne a nawet wstydlive. Zaniepokojony chłopiec zaczął się zastanawiać, czy szkolna koleżanka Heidi nie sądzi tak samo.

Podczas gdy chłopcy gawędzili, chmury rozeszły się i znowu zaświeciło słońce. Piotrek uznał, że to właściwa pora na obiad. Zaproponował koledze, aby zjadł z nim razem. Rozmawiając doszli do ziemianki z jedzeniem i koźlarz wyciągnął woreczek z kanapkami z szynką i serem. Zamiast stołu mieli płaski kamień; zasiedli przy nim i zaczęli zajadać z apetytem.

Po obiedzie wypili po kubku świeżego, koziego mleka. Gerard

wyciągnął się na trawie, a Piotrek siedział nieruchomo, wpatrując się w głąb doliny.

- Czym się zajmujesz, jeśli już nie jesteś pasterzem? - zainteresował się Piotrek. - Każdy przecież musi coś robić.

- Jasne, że coś robię i to dobrze - odrzekł Gerard. - Sprzedaję jajka. Codziennie roznoszę je po okolicznych oberżach, zapuszczając się najdalej jak tylko mogę. Dostarczam je również do hoteli.

Piotrek potrząsnął głową ze wzgardą.

- I co to za praca? Ja tam nie chciałbym sprzedawać jajek. Tysiąc razy więcej wolę być pasterzem. To dużo lepsze zajęcie.

- Dlaczego? - zapytał Gerard.

- Jajka nie są żywe. Nie chodzą za tobą cały dzień tak jak kozy. Nie cieszą się na twój widok, gdy przychodzisz wyprowadzić je rano. Nie ocierają się o ciebie i nie rozumieją wszystkiego, co do

nich mówisz - odpowiedział Piotrek i dodał: - Nie możesz przecież kochać swoich jajek, jak ja Kocham moje kozy.

- No dobrze, ale co z tego masz? - przerwał mu Gerard. - Zaledwie parę groszy tygodniowo - nie więcej. A podczas jedzenia podnosiłeś się ze sześć razy tylko dlatego, że to małe, nieposłuszne kozłę mogło spaść ze skały. Czy to zabawne?

- Jasne, że tak - pospiesznie odparł Piotrek. - Ja to robię z własnej chęci, prawda, Beksuniu? Twoje małe nóżki są jeszcze niepewne i taka jesteś malutka. Odprowadził znowu swoją pupilkę od krawędzi skały i gdy wrócił na miejsce, Gerard zauważył:

- Jest inny sposób na to, żeby powstrzymać kozy przed upadkiem ze skały i nie trzeba przy tym za nimi biegać.

- A cóż to za sposób?

- Trzeba wkopać kij w ziemię i przywiązać do niego kozę za nogę. To prawda, że nie będzie tym zachwycona, ale nie ruszy się z miejsca!

- Jak możesz sobie wyobrazić, że zrobiłbym coś podobnego tej małej kózce! - zawołał oburzony Piotrek. Przyciągnął Beksunię do siebie i objął ją mocno ramionami, jakby chciał ochronić ją na zawsze przed takim okrucieństwem.

- No, nie będziesz się musiał o nią już długo troszczyć - ciągnął Gerard. - Jeszcze tylko kilka dni.

- Co takiego! Skąd o tym wiesz? - zawołał przerażony pasterz.

- Bah! Skąd o tym wiem! - przedrzeźniał go Gerard. - Nauczyciel nie chce jej hodować. Jest zbyt słaba i nie wyrośnie nigdy na wartościową kozę. No i hotelarz z Mayenfeld kazał mi ją przyprowadzić w przyszłym tygodniu.

Piotrek zbladł. Początkowo nie mógł wymówić słowa, a potem wybuchnął z rozpaczą.

- Nie! Nie! Nie ośmielą się tego zrobić! Tylko nie Beksunia! Oni tego nie zrobią! Ja im nie

pozwolę. Nie! To niemożliwe!

- Posłuchaj mnie - powiedział Gerard obracając go twarzą do siebie. - Jeśli tak ci zależy na tym koźlęciu, to może mógłbym namówić mego ojca, żeby je kupił. Ale najpierw musisz zrobić coś dla mnie. I Gerard wyciągnął rękę z czymś, co przykrył drugą dłonią. Coś zaśśniło między jego palcami, gdy padł na nie promień słońca.

- Co to jest? - zainteresował się chłopiec.

- Zgadnij!

- Pierścionek? - spróbował Piotrek.

- Nie, ale coś podobnego. Znalazłem to na ścieżce wychodzącej w górę z Mayenfeld.

- To znaczy, że nie należy do ciebie - stwierdził koźlarz.

- Dlaczego nie? Nie zabrałem tego nikomu. Wczoraj niemal na to nadepnałem wracając do domu. Mogłem przecież złamać. Skoro udało się nie zniszczyć, to myślę, że mogę go sobie

zatrzymać.

- Ale ktoś go zgubił, więc
powinieneś wywiesić ogłoszenie -
upierał się Piotrek.

- Nie, tego nie zrobię! -
zawołał Gerard zaniepokojony
postawą kolegi. - No popatrz
tylko, popatrz na to! Prawdziwe
złoto! Sklepikarz we wsi chętnie
kupi, jeśli mu zanieziesz.
Możemy podzielić się pieniędzmi
i nikt o niczym się nie dowie.

- Nie zrobię tego - powiedział
bez namysłu Piotrek. -
Zapominasz, że Bóg w niebiosach
słyszy i osądza wszystko, co
mówisz.

Gerard podniósł oczy ku niebu.

- Z takiej wysokości? -
powątpiewał. Zaczął jednak mówić
przyciszonym głosem.

- On i tak cię słyszy -
stwierdził z przekonaniem
Piotrek.

Po tym Gerard_ignorant poczuł
się nieswojo i pożałował swych
zwierzeń, ale już było za późno.
Musiał znaleźć inne wyjście z

trudnej sytuacji.

- Piotrek - powiedział nagle.
- Poproszę ojca, by kupił
Beksunię, jeżeli obiecasz nikomu
nie mówić o tej sprawie. Wtedy
nauczyciel nie sprzeda jej
hotelarzowi na mięso.

Gerard otworzył zaciśniętą
dłoń i Piotrek zobaczył leżący
na niej gruby, złoty krzyżyk.
Zdawał sobie sprawę, że jest
cenny i na pewno ktoś go szuka.
Przeżywał silną, duchową
rozterkę. Wiedział, że jeśli
nikomu nie powie, to będzie
wspólnikiem nieuczciwego czynu.
Z drugiej jednak strony była
mała Beksunia, której grozi nóż
rzeźnika. Może zapobiec temu
tylko swoim milczeniem.

Koźlę podeszło i położyło się
u boku chłopca. Spoglądało mu
ufnie w twarz przekonane, że on
zawsze stanie w jego obronie.
Piotrek nie mógł pozwolić, by to
maleństwo zginęło. Życie kózki
jest warte więcej niż pieniądze
za złoty krzyżyk. Może uratować
beksunię płacąc milczeniem.

- Niech będzie, zgadzam się -
oświadczył posepnie.

- Dobra, daj rękę! - Gerard wyciągnął dłoń do kolegi, aby uściskiem przypieczętować umowę. Wydawał się zupełnie zadowolony z dobicia targu. Piotrek nie przejawiał chęci do rozmowy, więc Gerard mając długą drogę przed sobą, ruszył do domu ze swymi kozami. Kiedy zniknął w dali, koźlarz zebrał swoje stado i zaczął schodzić w dół. Tym razem nie gwizdał ani nie śpiewał - szedł, całą drogę pogrążony w myślach.

IX. Wewnętrzna walka

Rozdział IX

Wewnętrzna walka

Rano Piotrek przeszedł przez

wioskę milczący i przygaszony.
Przywołał kozy i skierował się
na górskie łąki bez jednego
gwizdu, bez jednego radosnego
okrzyku. Wspinał się z
opuszczoną głową, jakby się
czegoś bał i oglądał się od
czasu do czasu sprawdzając, czy
kto nie idzie jego śladem.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego
czuje się taki przybity i
nieswój. Cieszyło go, że
uratował życie Beksuni i chciał
śpiewać jak zawsze, ale słowa
pieśni zamierały mu w gardle.
Niebo przysłoniły chmury i
chłopiec uznał, że jest smutny,
ponieważ dzień wypadł posepny i
szary. Przekonał sam siebie, że
gdy tylko słońce wyjdzie zza
chmur, to i on poweseleje.

Skoro tylko doszedł do łąki,
rozpadało się na dobre. Znalazł
schronienie pod "deszczową
skałą" i patrzył na
nieprzeniknioną ścianę deszczu.
Wokół grzmiało, a błyskawice
przecinały niebo zygzakami.
Stłoczone przy nim kozy starały
się wtulić pod skalny nawis.
Szczygiełka, taka zawsze
delikatna, pragnąc uchronić
lśniącą sierść przed zmoczeniem,

ułożyła się przy pasterzu. Z tego bezpiecznego miejsca przyglądała się spokojnie strugom wody. Beksunia stała tuż obok swego opiekuna i obrońcy pocierając łebkiem o jego kolana. Patrzyła zdziwiona jego milczeniem, gdyż po raz pierwszy nie zwracał uwagi na swą pupilkę. Białaska również drapała się kopytkiem za uchem i pobekiwała, jakby chciała powiedzieć: "Przez cały ranek nie odezwałeś się do nas ani słowem".

Głęboko zamyślony Piotrek stał oparty na pasterskim kiju. Zawsze nosił go ze sobą, tak jak to robią pasterze owiec. Szczególnie przydatny był podczas deszczu, bo służył do podpierania się na śliskiej, stromej ścieżce. Biedny chłopiec stracił zupełnie poczucie czasu. Przez wiele godzin stał pod skałą w oczekiwaniu lepszej pogody i rozważał daną Gerardowi obietnicę. Im dłużej o niej myślał, tym bardziej był przekonany, że stał się współwinny, bo sprzedał milczenie koledze, który przywłaszczył sobie cudzą własność. Zrobił coś, czego

robić nie powinien i teraz nawet Bóg będzie przeciwko niemu. Ogarnęła go skrucha i wyrzuty sumienia. Bał się też, że gdyby Beksunia znowu spadła ze skały, to tym razem Pan Bóg nie przyjdzie mu z pomocą. Runą oboje w głęboką przepaść i za karę roztrzaskają się na kawałki.

- Nie! Nie! To się nie może zdarzyć! - wykrzyknął na głos, gdy przed oczami stanął mu wyraźnie taki obraz. - Powiem o tym - zdecydował w końcu, lecz znowu zobaczył nóż rzeźnika nad głową Beksuni. I ta scena była równie plastyczna jak poprzednia.

Ulewa wzmagająca się i wraz z nią rósł ciężar na duszy chłopca. Tak minął cały dzień. Wieczorem Piotrek wrócił do domu milczący podobnie jak rano. Heidi i Jamy czekały na niego i przybiegły do obórki.

- Piotrek, co się z tobą dzieje? - zapytały. - Dlaczego nie śpiewasz?

Odwrócił się do nich i rzekł ponuro: - nie mogę - po czym

poszedł prędko swoją drogą, nie patrząc za siebie.

- To bardzo dziwne, że nie śpiewa i nie gwizdże. Coś musiało mu się przydarzyć - stwierdziła Jamy.

- Pewnie ten okropny deszcz popsuł mu humor - zdecydowała Heidi. - Albo irytuje go twoja obecność, bo nie ma mnie wyłącznie dla siebie. Kiedyś czuł coś takiego do Klary, gdy nie mogła chodzić. Tak się rozzłościł, że zepchnął jej wózek inwalidzki w przepaść. Ale wtedy był małym chłopcem i później szczerze tego żałował. Myślałam, że już wyrósł z tych humorów.

- To jest przecież tylko pasterz, koźlarz - powiedziała Jamy.

Oczy
Heidi zapłonęły.

- To jest Piotrek! - oświadczyła z naciskiem. Jeżeli nawet ma ataki złego humoru, to nie chcę, by się zmienił. Tak samo nie chciałabym zmieniać dziadka - dodała. - Oni są

częścią mego życia tutaj w
Dorfli... i ja... ja ich kocham.

Jamy spojrzała na nią z
podziwem. Czy Heidi zdaje sobie
sprawę z tego, co mówi? Co za
temperament! I jaka niezwykła
lojalność i przywiązanie do
swoich bliskich.

Następny dzień był posępny tak
jak poprzedni. Niebo zasłaniały
gęste chmury. Piotrka w dalszym
ciągu dręczyły wyrzuty sumienia.
Siedział na tym samym kamieniu
pod skalnym nawisem i myśli jego
krążyły wokół jednego tematu.
Gdy tylko zdecydował się
opowiedzieć o złotym krzyżyku,
natychmiast miał przed oczami
rzeźnika przykładającego nóż do
cienkiej szyi Beksuni - i
wszystko zaczynało się od nowa.

Pod wieczór był tak zmęczony
rozmyślaniami, które niczego nie
rozwiązało, że szedł do domu
powoli, zupełnie nie zważając na
ulewny deszcz. Stojący w
drzwiach swego domu dyrektor
szkoły krzyknął do niego
szorstkim głosem, jakim zwykle
zwracał się do swoich uczniów.

- Chodźże szybciej z tymi

zwierzętami! Już i tak są całe przemoknięte. Dlaczego wleciesz się żółwim krokiem? Jak tak dalej pójdzie, ludzie poszukają sobie innego koźlarza, któremu spokojnie powierzą swoje kozy!

Piotrka zraniły te słowa. Nowy koźlarz? I do tego przy obórcie dziadka zatrzymała go Jamy i zapytała: - "Piotrku, czy ty zamierzasz paść kozy przez całe życie"?

Następnego dnia rozpogodziło się i znowu zaświeciło słońce. Piotrkowi wydawało się, że Pan Bóg patrzy na niego wprost z głębi błękitu niebios. Przypomniał sobie radę niewidomej babki. Dawno temu, kiedy po raz pierwszy wyruszył na pastwisko, babka odciągnęła go na bok i powiedziała łagodnym, spokojnym głosem: "Pamiętaj Piotrku, tam na hali jesteś bardzo blisko nieba. Bóg zobaczy i usłyszy wszystko, co zrobisz i powiesz. Niczego przed Nim nie ukryjesz. On tam jest również bliżej ciebie i może ci pomóc. Gdy jesteś daleko i nie masz kogo zawołać w razie złej przygody, to zwracaj się do Niego. On cię usłyszy i na pewno

przyjdzie z ratunkiem".

Tak więc wreszcie stało się jasne dla Piotrka, co powinien zrobić.

- Przebacz mi Beksuniu -
powtarzał raz po raz, pomagając kózce pokonać trudną drogę z pastwiska. - Dobry Boże! Muszę mieć pewność, że postępuję słusznie, ale proszę Cię, proszę, nie pozwól Beksuni umrzeć!

Kiedy chłopiec zatrzymał się przy chacie dziadka, staruszek spojrział na niego z głęboką troską.

- Co się z tobą dzieje nieszczęśliwy kozi generale? Heidi mi opowiada, że straciłeś głos.

- Muszę coś wyznać -
powiedział Piotrek spuszczać głowę.

- No to mów, zrzuć ciężar z serca - zachęcał Halny Stryjek.

- Coś zostało znalezione -
wykrztusił z trudem Piotrek.

- Co znaleziono? - zawołała Jamy wstając od stołu, przy którym właśnie zaczęli jeść kolację. - A ja coś zgubiłam... mój śliczny, złoty krzyżyk!

- To właśnie znaleziono - stwierdził Piotrek.

- Co ty mówisz? Czy to był taki gruby, złoty krzyżyk na aksamitnej wstążeczce? - upewniała się Jamy.

- Tak, był - odparł chłopiec tym samym obojętnym głosem.

- Czy go masz? Gdzie on jest? Daj mi go! Gdzie go znalazłeś? - wyrzucała z siebie jednym tchem Jamy.

- Ja go nie znalazłem - wyjaśnił Piotrek. - Lecz Gerard z Ragaz.

Jamy chciała natychmiast dowiedzieć się wszystkiego i zaproponowała, żeby od razu posłać kogoś po Gerarda.

- Wolę pójść po niego sam - stwierdził Piotrek. - Myślę, że nawet powinienem to zrobić. Jeśli go jeszcze ma, to ci

przyniosę.

- Jeśli jeszcze ma? Ale dlaczego mógłby nie mieć? - wykrzyknęła dziewczynka. - Co by z nim zrobił? Gdzie i jak go znalazł i skąd ty o tym wiesz?

Piotrek jednak wbił tylko wzrok w ziemię i milczał. Wówczas Heidi odciągnęła go na bok i jej opowiedział całą prawdę.

- Najdroższy Piotрку - rzekła, gdy skończył - a więc babka do tej pory nam pomaga! Gdyby nie jej słowa zachowałbyś tajemnicę, prawda że tak?

- Owszem - wyznał chłopiec. - Mógłbym to zrobić, bo teraz Beksunia zostanie zabita.

Heidi uśmiechnęła się. - Czy nigdy nie zamierzałaś jej kupić? Nie lepiej mieć własne kozy niż paść cudze? Prawie każdy mieszkaniec w Dorfli ma własne kozy.

Piotrek zastanawiał się nad tym przez chwilę. Do Gerarda wyprawił się w głębokiej zadumie. Jamy obiecała znalazcy

nagrodę przewyższającą sumę,
którą by uzyskał ze sprzedaży
krzyżyka.

Kiedy Gerard dowiedział się,
że kolega go wydał, był
początkowo bardzo rozgniewany.
Wiadomość o nagrodzie ułagodziła
go i oddał krzyżyk bez oporów.
Było już za późno, by wspinać
się z powrotem na górę, zabrał
więc Piotrek krzyżyk do domu.

Zanim położył się do łóżka,
starannie przeliczył wszystkie
swoje pieniądze. Nie miał nawet
połowy tego, ile trzeba będzie
zapłacić za koźlę. Dyrektor
szkoły był twardym człowiekiem i
na pewno od niego zażąda tyle
samo co od hotelarza.

Chłopiec postanowił, że w
przyszłości będzie oszczędzał,
by kupić sobie kozy, tak jak mu
radziła Heidi. Tylko, że to już
będzie za późno, by uratować
Beksunię.

Wczesnym rankiem pojawił się w
chacie dziadka i milcząc wręczył
Jamy jej pamiątkę, a potem
poszedł na pastwisko. Wrócił
późnym wieczorem i dziewczynka
wybiegła mu na spotkanie.

- Piotruku, dlaczego ciągle jesteś taki smutny? - spytała.

Piotrek smętnie pokiwał głową.

- Myślę o moim koźlęciu - powiedział. - Jak długo pożyje jeszcze moja mała Beksunia? Jamy ujrzała na jego twarzy taki wyraz rozpacz, że postanowiła nie ukrywać dłużej swej niespodzianki.

- Czy wiesz Piotruku, jaką sprawiłeś mi radość? - spytała.

- Gdyby nie ty, Gerard nigdy nie zwróciłby krzyżyka. Dlatego i ja pragnęłam coś dla ciebie zrobić. Dzisiaj gdy byłeś na pastwisku, poszliśmy z Heidi do dyrektora szkoły. Chciałam dać ci nagrodę i pomyślałam, że najlepszą będzie mała Beksunia. Możesz ją zabrać ze stada, bo należy do ciebie!

Przez chwilę chłopiec nie mógł ze zdziwienia wydobyć głosu z gardła i milcząc wpatrywał się w Jamy. Potem oprzytomniał i dziękował jej stokrotnie, a także Heidi, która przyznała się do tego pomysłu.

Schodząc z kozami stromą

ścieżką w dół, Piotrek śpiewał i nigdy dotąd śpiew nie sprawiał mu tyle zadowolenia. Jego głos unosił się nad doliną nabrzmiały radością. Słońce świeciło jasno na błękitnym niebie. Po trzydniowym deszczu trawa stała się bardziej zielona i świeższa, a wszystkie kwiaty wabiły oczy jaskrawymi barwami. Chłopcu wydawało się, że nigdy przedtem góry, dolina i otaczający go świat, nie były tak piękne. Czuł, jak ogromne szczęście rozpiera mu serce.

Było dość wcześnie, gdy Piotrek wrócił do wsi ze swym kozim oddziałem. Brygida usłyszała jego okrzyki, zanim dotarł do domu.

- Ona jest moja! Beksunia należy do mnie!

W pierwszej kolejności przygotował swej pupilce miękkie posłanie w obórce. Potem przyszedł do kuchni i jedząc z apetytem, opowiedział matce o wydarzeniach. Brygida cierpliwie wysłuchiwała długiej opowieści i na koniec rzekła:

- Piotrusiu, zapamiętaj te

ostatnie godziny na całe życie.
Pozwól, by zawsze kierowało tobą
sumienie. Postąpiłbyś słusznie i
tym razem, myśląc najpierw o
ludziach, którzy ci zaufali, a
potem o swojej kózce.

Zanim położył się spać,
poszedł jeszcze do obórki, by
się upewnić, że Beksunia jest
tam na pewno. Trudno mu było
uwierzyć w uśmiech losu, który
mu przypadł w udziale i w to, że
koźłę stało się jego własnością.

`tt

X. Pożar na górze

Rozdział X

Pożar na górze

Wysokie, dostojne jodły nie

śpiewały jak zwykle i nie
chwiały się w podmuchach wiatru.
Stały nieruchomo w ciszy
martwego powietrza. Góra
upstrzona była dziwacznie
plamami fioletowo_różowego
światła i czarnymi cieniami.
Lodowiec na szczycie lśnił w
słońcu zimnym błękitem.

Tego ranka Piotrek kręcił się
z niepokojem przy chacie
dziadka.

- Heidi! Jamy! - zawołał i
dwie głowy pojawiły się
natychmiast w małym oknie.

- Dzień dobry Piotрку! -
przywitały go. - Nie krzycz tak!
Dzisiaj nie pójdziemy z tobą na
hale. Schodzimy do wsi.

- Bardzo was proszę -
odkrzyknął chłopiec. - Tak
czekałem na was. Kozy są
wyjątkowo niespokojne i boją
się, że coś się stanie. Ty Heidi
zawsze potrafiłaś je uspokoić.

Jednak dziewczynki roześmiały
się tylko. Żartowały sobie i w
końcu zaczęły rzucać w pasterza
czym popadło. Z okna poleciały
płedy, prześcieradła, szczotka

do włosów, fartuch, a nawet
bucik. Oburzony takim
traktowaniem chłopiec odszedł,
głośno pogwizdując dla okazania
obojętności.

Heidi i Jamy miały dużo zajęć
w domu i dochodziło już
południe, gdy zauważyły, że z nad
doliny płynie fala dusznego
powietrza, a niebo zasnuły
chmury. Po obiedzie dziadek dał
im różne sprawy do załatwienia
we wsi.

- Najpierw powieście doktorowi,
że wszystko jest w porządku i
dacie Brygidzie te dwa sery.
Jeden jest dla Piotrka. Wstąpcie
do Bertholda i spytajcie, czy
mój kosz jest gotowy, a potem
kupcie u piekarza dwa funty
soli. Tak dbacie o kozy, że dla
nas prawie jej nie zostało.

Mówiąc to, staruszek uważnie
przyglądał się górą, a potem
dolinie, w której wszystko
zdawało się spoczywać pod grubą
zasłoną mgły.

- Dzisiaj będzie burza. Góry
wyglądają groźnie - mruknął do
siebie. Potrafił odczytywać
nawet te znaki pogody, które

umykały uwadze innych.

- Jeżeli zacznie się wcześniej

- zostańcie na noc we wsi.

Doktor przyjmie was z radością.

- Ależ dziadku, zostałbyś

wtedy zupełnie sam -

zaprotestowała Heidi.

- Nie martw się moje dziecko.

Dobry Bóg zatroszczy się o mnie.

Stał na progu, patrząc jak
dziewczynki wesoło zbiegają w
dół po wąskiej ścieżce. Kiedy
dotarły do szczytu wysokiego
pagórka, odwróciły się i
pomachały mu rękami, a on też
odpowiedział kiwnięciem. Nie
opuścił swego stanowiska, dopóki
dwie małe plamki nie dotarły do
wioski. Wtedy odwrócił
się i

zaczął obchód dokoła domu.

Wszystko było w najlepszym
porządku i czystości. Zatrzymał
się na chwilę i popatrzył na
jodły, które tak lubił ze
względu na muzykę Heidi.

- Dlaczego dzisiaj wydają się
jakieś inne? - zastanawiał się.

- Takie obce i dalekie.

Góra płonęła niezwykłym,
fioletowym światłem. W miarę
zbliżania się zmierzchu ciemniał
przezroczysty błękit lodowca. I
nagle jodły zaszumiały
niespokojnie. Zadygotały od
korzeni do najwyższych gałęzi, a
jednocześnie w powietrzu nie
wyczuwało się najłżejszego
powiewu. Na zachodzie, hen
daleko za doliną, niebo było
czarne. Nawet światło słoneczne
zamgliło się, jakby przechodziło
przez grube szkło.

Dziadek nie martwił się o
siebie, lecz o przebywającą we
wsi Heidi. - Burza na pewno
rozpęta się przed nocą -
pomyślał. - Oby doktor zatrzymał
dziewczynki u siebie!

Piotrek zszedł z pastwiska
wcześniej niż zwykle i zawołał:
- Stryjku! Chodź tu i popatrz!
Spójrz, jak dziwnie zachodzi
słońce.

- Dobry dzień, kozi generale!
- powitał go dziadek. - Już z
powrotem?

- Kozy są niespokojne.
Śnieżulka pierwsza puściła się
na dół, a reszta poszła za nią.

Nie mogłem ich powstrzymać.
Wyglądają na przestraszone.

- Czują burzę w powietrzu -
powiedział Halny Stryjek. -
Spiesz na dół i powiedz swojej
matce, że Heidi i Jamy mają u
was zanocować.

- Ależ Stryjku, nie możesz
zostać tylko z kozami! -
zaprotestował chłopiec.

- Jestem do tego
przyzwyczajony - odparł dziadek
niecierpliwie. - Idź szybko i
rób, co ci powiedziałem.

Piotrek, który dotąd nie
wyzbył się dziecięcego respektu
przed starym człowiekiem z gór,
odwrócił się i pobiegł, a za nim
podążyło stado.

We wsi dziewczynki skończyły
załatwiać dziadkowe polecenia i
wstąpiły do pastora, który
zawsze okazywał Heidi wiele
życzliwości. O wpół do piątej
znalazły się przy domu doktora,
czekającego już w drzwiach.

- Wejdźcie szybko dziewczuszki -
zawołał. - Herbata już czeka.
Brygida upiekła górę ciasteczek

tak wysoką, że będziecie musiały
zaprosić kogoś do pomocy przy
jedzeniu!

- Nie ma obawy! Nadchodzi
Piotrek! Teraz możemy usiąść
wszyscy razem i zabrać się do
sprzątnięcia tych pyszności.

Doktor, patrząc na
uszcześliwioną twarzyczkę Heidi,
zauważył: - Górskie powietrze
przywróciło ci dawny, zdrowy
wygląd i znakomity apetyt. Nie
żałujesz, że cię oderwałem od
lekcji muzyki?

- Czy żałuję? Drogi doktorze,
oczywiście że nie. Tu jestem
szczęśliwsza niż gdziekolwiek
indziej - i na chwilę oparła mu
głową na ramieniu spoglądając w
oczy, aby mógł się przekonać,
jak zupełne jest jej szczęście.

Po herbacie Brygida zapakowała
resztę ciasteczek do małego
koszyczka i wręczyła go Heidi
mówiąc: - To dla twego dziadka.

- Musimy zbierać się do domu -
zaczęła Heidi, ale Piotrek jej
przerwał.

- Dziś nie wrócicie na halę -

oświadczył. - To polecenie
dziadka. Przewidział burzę i
macie pozostać z nami.

- Burza! - wykrzyknęła Jamy -
ale przecież niebo jest
niebieskie! Chyba coś ci się
przyśniło.

- Niebo było niebieskie, gdy
przyszłyście - zauważył Piotrek,
stając przy drzwiach i wskazując
ręką. - Popatrz tylko! Gdy
rozmawialiśmy przy ciastkach,
zmieniło kolor.

- Ja i tak pójdę na górę -
oświadczyła Heidi. - Nie boję
się burzy i nie zostawię dziadka
samego.

- Ale on tak kazał - nastawał
Piotrek. - Powiedział, że mam
przekazać doktorowi...

- Dziękuję ci chłopcze.
Będziemy posłuszni dziadkowi,
prawda Heidi? I bez dyskusji,
ponieważ doskonale wiemy, że on
ma rację - rozstrzygnął doktor.

- Ale - zaczęła znowu Heidi.

Pod zdziwionym spojrzeniem
ojca chrzestnego, zawstydzona

dziewczynka spuściła oczy.

Wieczorem wszystko wokół poczerniało i Dorfli wyglądała jak wioska cieni. Zdawało się, że domy przygniotła olbrzymia pokrywa, a w ciężkim powietrzu trudno było oddychać. Na zachodzie od czasu do czasu pojawiały się błyskawice, ale nie było słychać grzmotów. Mieszkańcy wsi z niepokojem obchodzili swoje domy i inne zabudowania, sprawdzając czy wszystko jest dobrze pozamykane. Bardzo często zdarzało się, że pioruny powodowały pożary i biedne zwierzęta ginęły w płomieniach, nie mogąc się wydostać. Tym niemniej stary zwyczaj pozostawał i mieszkańcy Dorfli zamykali przed burzą obory i stajnie.

W domu doktora Heidi i Jamy przygotowały się do snu wcześniej niż zwykle, bo chciały wyruszyć w góry o świcie razem z Piotrkiem. Najpierw jednak wysłuchały wiejskich nowinek i plotek opowiedzianych przez Brygidę. Okazało się, że wiele rodzin odnosiło się niechętnie do dyrektora szkoły.

- Cieszę się, że Piotruś już
nie chodzi do szkoły -
oświadczyła Brygida z
westchnieniem. - Kozy nie zrobią
mu krzywdy.

- Czy ta szkoła jest aż tak
zła? - spytała Jamy. - Czy nie
można zmienić nauczyciela?

- To nie takie proste -
wtrącił doktor. - Dzieci są
rozpuszczone. Żaden nauczyciel
nie poradzi sobie z nimi.

- Ja bym sobie poradziła -
powiedziała spokojnie Heidi.

Wszyscy roześmieli się, tak
ich rozbawiła myśl o małej Heidi
kierującej taką szkołą. Ona sama
już nic więcej nie powiedziała,
choć rozmowa interesowała ją
ogromnie.

Doktor kiedyś prosił Heidi,
aby przyniosła skrzypce, gdyż
nie słyszał jej gry, odkąd
wróciła z pensji. Dziś wzięła je
wciąż ze sobą.

- Na pewno zagram bardzo źle,
bo dawno nie ćwiczyłam -
powiedziała wstydliwie.

- Będziemy wyrozumiałą i życzliwą publicznością - obiecał jej doktor.

Dziewczynka uniosła w górę smyczek i zaczęła grać. Nie był to jednak żaden z wyuczonych w szkole utworów. Tę pieśń słodką i dziką poznawali oboje z Piotrkiem. Brzmiała w niej muzyka jodeł; wysokie tony jęczały i gwizdały.

- Burza weszła mi do skrzypiec
- oświadczyła odkładając instrument. - Posłuchajcie! Już się zaczęła.

Na górze wiatr przedzierał się przez jodły i modrzewie, a potem zatrzęsły się i zatrzęszczały wiejskie domy. Pierwsze uderzenie gromu przetoczyło się po dolinie jak głos bębnów. Powoli zamarło w oddali, aby powtórzyć się po raz drugi, trzeci... Przez pół godziny gromy huczały i trzaskały jeden za drugim. Heidi i Jamy przytuliły się do doktora, wpatrując się w okno, podczas gdy Brygida z Piotrkiem spoglądali z niepokojem w drugie. Nagle ktoś przebiegł ulicą wioski krzycząc: "Pożar!

Pożar na górze!"

Heidi gwałtownie pobladła i rzuciła się do drzwi, a za nią pobiegli doktor i Jamy. Brygida pomknęła za dziewczynkami, niosąc zapomniane przez nie płaszcze. Zaczęło padać i grzmoty jakby się oddaliły. Wysoko na górze błyskały płomienie. Heidi nie miała żadnych wątpliwości. Płonęła chata dziadka!

Kilku mężczyzn przyłączyło się do doktora, który wspinał się ścieżką wiodącą na halę; w ręku trzymał swoją czarną walizeczkę.

- Nic nie zdołamy zrobić - powiedział jeden z wieśniaków. - Już jest za późno.

- Mimo wszystko możemy dojść w porę - stwierdził drugi. - Idziemy doktorze. Ja pójdę za panem z dzbankiem kawy dla Stryjka gdyby.... Urwał, lecz wszyscy zrozumieli, co miał na myśli.

Przez moment Heidi zastygła w bezruchu jakby skamieniała, a potem rzuciła się pędem w górę, wołając: - Dziadku! Dziadku!

Biegła bez wytchnienia,
wyprzedzając wszystkich,
krztusiła się szlochem, lecz
oczy miała suche. Cały czas
powtarzała: - Dziadku! Och
dziadku! - Nie patrzyła pod
nogi, potykała się o kamienie,
kilka razy upadła. Podnosiła się
i biegła dalej, nie widząc przed
sobą niczego poza strzelającymi
w górę płomieniami. Ktoś chwycił
ją za ramię i starał się
przekrzyczeć szum ulewy.

- Heidi! Widziałem wysoki cień
poruszający się przed ogniem. To
był twój dziadek, jestem tego
pewien! - I Piotrek stanął
niemal bez tchu po długim biegu.
Heidi szarpnęła go za ramię.

- Czy to prawda, to co mi
powiedziałeś? - Widziałeś cień
przed płomieniem?

- Tak Heidi - wykrztusił
chłopiec. - Widziałem, mam
bardzo dobry wzrok.

Heidi pobiegła znowu w górę,
ciągnąc za sobą chłopca.
Wspinali się teraz nieco
wolniej, bo i ona zaczęła tracić
oddech.

- Piotrek, czy coś słyszałeś?
- zapytała.

- Nie, nic - odparł. - Tylko grzmoty i deszcz. - Po chwili usłyszeli tupot małych kopyt; pojawiły się przed nimi dwa ciemne kształty i stanęły jak wryte.

- Kozy! - krzyknęli oboje jednocześnie.

Znowu pospieszyli naprzód i wkrótce znaleźli się blisko chaty, tak że mogli widzieć płomienie i tryskające wysoko w niebo snopy iskier. Strach znowu ścisnął serce Heidi.

- Piotrek! Gdzie jest dziadek?

- Widziałem go przechodzącego na tle ognia - upierał się chłopiec. - Chodź, poszukamy wyżej.

W końcu znaleźli go pod jodłami. Był smutny i osłabiony. Spoglądał na zgliszcza domu, w którym przeżył tyle długich lat. Tu przyszła do niego Heidi, przynosząc ze sobą całą radość świata w małych, dziecięcych

rączkach! A teraz wszystko
przepadło. Czuł się obdarty z
tego, co było mu bliskie i
drogie.

- Bóg zabrał mi gniazdo. Mam
nadzieję, że i mnie wkrótce
zabierze - myślał ze smutkiem.
Nie widział Heidi, dopóki nie
rzuciła mu się na szyję.

- Moje biedne dziecko -
powiedział.

Przez chwilę dziewczynka
szlochała głucho w głębokiej
rozterce między radością, że
znalazła go żywego, a smutkiem,
że w jego oczach widzi tyle
ból. W końcu dziadek wymamrotał
łamiącym się głosem: - Ja też
powinienem zginąć.

Słyszając to, Piotrek
wyprostował się na całą wysokość
i uczył, że dotychczasowy jego
lęk przed Halnym Strykiem
przemienił się w głębokie
współczucie dla staruszka. Musi
koniecznie poprawić jego
samopoczucie ze względu na
Heidi.

- Pomogę ci Stryjku odbudować
chatę - oświadczył - a na

przyszły rok zaśpiewamy razem:

"Wysoko w górach stoi nowa
chata@ Jean odważny i wierny,@
zbudował ją sa_a_m!@ Wysoko w
górach stoi nowa chata."@

Dziadek uśmiechnął się. W tej
samej chwili na polance pojawił
się tłum ludzi ze wsi. Pierwszy
jednak był doktor.

- Mój drogi przyjacielu -
powiedział pogodnie - szkody nie
są zbyt
wielkie, skoro tobie nic
się nie stało. Chodź zaraz do
mnie, a jutro zrobimy plany
nowego domu, większego i
wygodniejszego. Co myślisz o
tym, żeby Heidi miała własny
pokój, zamiast łóżka na stryżku
jak dotąd?

- Heidi to się spodoba - rzekł
dziadek i wydawał się zupełnie
pocieszony.

XI. Koniec wakacji

Rozdział XI

Koniec wakacji

Nazajutrz dziadek, doktor i Piotrek z kozami wyprawili się na halę. Zatrzymali się przy zgliszczach, aby popatrzeć, co zostało z chaty i zanim zaszło słońce, już mieli gotowe plany odbudowy. Kilka dni później dziadek z Piotrkim i dwoma pomocnikami ze wsi pracowali przy nowym domu.

Kiedy zakończono pracę, nawet dziadek nie żałował, że stara chata padła pastwą płomieni. Ten nowy, ładny domek w niczym nie przypominał dawnej siedziby samotnika. Była w nim duża sypialnia dla dziadka, jeszcze większy pokój dla Heidi i wygodna kuchnia. Ponadto bawialnia, która mogła służyć jako pokój gościnny, gdy przyjedzie Klara z ojcem jak zwykle pod koniec lata.

Dziadek uratował z płomieni
sporo rzeczy. Krzeselko Heidi,
jej małe łóżeczko, wielki
miedziany czajnik do ogrzewania
sera nad ogniem, stół i wiele
innych sprzętów, które sam
zrobił w warsztacie przy kuchni.

Teraz miał warsztat wygodny,
osobno stojący. Białaska i
Buraska dostały również nową
obórkę. Ale najważniejsze było
to, że nowy dom został zbudowany
na miejscu starej chaty i te
same jodły szumiały mu pieśni. Z
okna pokoju Heidi roztaczał się
dobrze znany widok - góra
Falknis z ośnieżonym szczytem, a
u jej stóp - wioska Dorfli.

Już nie musimy nawet schodzić
w dół - zauważył dziadek,
patrząc w zadumie na dolinę -
Dorfli sama wspina się ku nam.

Tak to wyglądało. Domki
budowano coraz wyżej i wyżej na
górkim zboczu. Nie byli tak
całkowicie pozbawieni
sąsiedztwa, chociaż ich nowy dom
stał ciągle ponad innymi - jak
orzeł wsparty na skale.

- Ależ dziadku -

zaprotestowała Heidi - nie zamierzasz chyba pozostawać tu przez okrągły rok jak dawniej?

- Dlaczego nie miałbym tego robić? Kiedy skończysz szkołę, zamieszkas z mną.

Heidi pomyślała o zimie, wspaniałym śniegu i długich zjazdach sankami po zboczu góry. Na nartach mogłaby też dostać się bez trudu do wsi. Lecz zawsze pozostawała uciążliwa wspinaczka w drodze powrotnej.

- Doktor będzie się czuł samotny - próbowała innego argumentu.

- On ma Piotrka i Brygidę.

- Nie będą z nim zawsze. Piotrek planuje w najbliższym czasie przebudowę domu matki. Ponadto gdybym uczyła w szkole, to jak mam tu wdrapywać się zimą?

- Zobaczymy, zobaczymy - to było wszystko, co jej odpowiedział.

Heidi wiedziała, że pragnął tylko jednego: aby była z nim

tak długo, póki będzie żył.

Mieszkali w nowym domu od trzech dni i wszystko układało się pomyślnie. Dziadek urządził sobie wygodnie jeden pokój, Heidi i Jamy - drugi. Bawialnia, czy to co dopiero miało być bawialnią, ciągle stała pusta. Dziadek wytrwale krzątał się w swym warsztacie przygotowując nowe meble, które Jamy wydawały się najpiękniejszymi, jakie kiedykolwiek widziała, ręcznie rzeźbionymi sprzętami. Tego samego zdania była Heidi.

Przyglądała się właśnie, jak dziadek dopasowuje dwie części kanapki do ramy siedzenia, gdy nagle Jamy podbiegła do drzwi, wskazując na coś ręką.

- Heidi! Heidi! - zawołała.
Ktoś wspina się na górę. Minęli ostatni dom we wsi, więc na pewno idą tutaj!

- To pan Sesemann i Klara! - krzyknęła radośnie Heidi. - Więc jednak poznasz Klarę. To dzięki niej pojechałam do szkoły w Rosiaz.

- A dzięki tobie, jak

słyszałam, Klara znowu chodzi -
odparła cicho Jamy. - Popatrz,
jak szybko wspina się pod górę!

- Postawię czajnik na ogniu;
zrobimy sobie ucztę pod jodłami
- zdecydowała Heidi.

Kiedy już powitała przyjaciół
z Frankfurtu, zbiegła na dół z
wiadomością dla Piotrka, bo
żadna uroczystość nie mogła obyć
się bez niego. Piotrek, doktor i
Brygida nie ociągając się
ruszyli na halę. Brygida na
szczęście upiekła świeżą porcję
ciasteczek i przyniosła razem z
solidnym kawałkiem kiełbasy ze
spizarni doktora.

Ziemię pod jodłami pokrywał
miękki dywan z igliwia. Na nim
postawiono stół i ławeczkę, a z
drugiej strony trzy krzesła.

- Nigdy nie widziałam takiego
przyjęcia - wykrzyknęła Klara,
kiedy już wszystko było gotowe.
- Potrzebny jest tylko Sebastian
by podawać...

- I panna Rottenmeier, by
wszystko popsuć - wtrąciła Heidi
chichocząc.

Podczas posiłku rozmawiali głównie o pobycie Heidi we Frankfurcie. Wspominano ze śmiechem kataryniarza, kocięta i wszystkie te incydenty, które pozbawiały pannę Rottenmeier spokoju ducha. Tyle mówiono o przeszłości, że Jamy wyznała, iż zaczyna tęsknić za Mopsem, szkolnym kotem.

- Miałam nadzieję, że weźmiesz skrzypce i pojedziesz ze mną do Paryża na dalsze studia - powiedziała zasmucona Klara. Omawiali właśnie plany powrotu Heidi do Dorfli jako nauczycielki.

- Mogę grać również tutaj - odparła przyjaciółka. - W Paryżu tęskniłabym za domem. Dziadek wystarczająco długo przebywał sam. Nie namawiaj mnie Klaro, bo już podjęłam decyzję. Pozostanę tu na zawsze i możesz, kiedy zechcesz, przyjeżdżać do mnie w odwiedziny. W Dorfli jestem szczęśliwa i dlatego pragnę mieszkać w niej do końca życia.

- No cóż, niech i tak będzie - oświadczyła Klara z rezygnacją. Znała Heidi na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie zmieni raz

podjętej decyzji.

Sierpniowe wieczory były niezwykle piękne. Przez cały tydzień Klara ani razu nie przepuściła okazji oglądania zachodu słońca. Zazwyczaj Heidi, Jamy i Piotrek chodzili razem z nią wysoko na skały. Często towarzyszyli im doktor z panem Sesemannem. Lubili słuchać, jak Heidi gra tam na skrzypcach, a reszta młodych śpiewa przy wtórze czarownej muzyki. Mieli wrażenie, że te dźwięki przepelniają całą dolinę. Nawet słońce zdawało się zachodzić w harmonii z tym, co grała Heidi. Zawsze też zbyt prędko znikало za różowiejącymi górami. Gdy ostatnie promienie płonęły na szczytach, wszyscy stawali nieruchomo, tak że z domu dziadka, stojącego niżej, wyglądali jak cienie na tle ognistego blasku.

Wieczorami zbierali się w obszernej kuchni nowego domu i słuchali niezwykłych, wspaniałych opowieści dziadka.

- Jeszcze jedną historię, błagam - zawsze prosiła Klara, gdy nadchodziła pora rozejścia

się do łóżek. Staruszek
przeważnie rozpoczynał nową
gawędę.

Tak mijało lato. Jamy uważała,
że opowieści dziadka są o niebo
ciekawsze i zabawniejsze, od
tego co ostatnio wyczytała w
szkolnych lekturach. Pod koniec
wakacji znała historię
Szwajcarii, z wieloma pięknymi
legendami i alpejskimi
pieśniami, niemal równie dobrze
jak Heidi i Piotrek. Klara
wyjechała obiecując solennie że
nic jej nie powstrzyma od
przyjazdu tutaj każdego lata. Do
tych gór, które przywróciły jej
zdrowie i siły, dały odwagę, by
śmiało stanąć na nogach.

Na początku września Heidi i
Jamy powróciły do szkoły. Liście
na drzewach już zaczynały
żółknąć. Na początku semestru
Mademoiselle Larbey zaplanowała
kilka jesiennych wycieczek.
Któregoś popołudnia uczennice
zwiedzały zamek w Chillou, gdzie
przez sześć lat więziono
Bonivarda. Zobaczyły tam ścieżkę
wydeptaną w kamiennej podłodze
maleńkiej celi, w której
przykuto go łańcuchem do ściany.
Heidi napisała o tym do dziadka

i wstrząsnęła nią jego
odpowiedź, że takich cel było
wiele. - Dotąd jeszcze istnieją
w więzieniu w Dorfli - pisał.

Dotychczas Heidi uważała
istnienie więzienia w Dorfli za
słuszne i niezbędne. Teraz
wydawało jej się, że to
bezlitosne i okrutne.
Zastanawiała się, jacy ludzie
tam przebywają.

- Kiedy powrócę do domu -
oznajmiła swym koleżankom - to
muszę coś zrobić z tym
więzieniem. Ludzie nie powinni
przebywać w klatkach jak
zwierzęta. To niesprawiedliwe.

- A co masz zamiar zrobić? -
pytały ją ze śmiechem. -
Będiesz grała więźniom na
skrzypcach?

- Naturalnie - odparła. -
Dlaczego nie?

Dziewczęta żartowały sobie z
niej i nazywały ją dzielnym,
małym krzyżowcem.

- Heidi będzie pocieszać
więźniów!

- A dziewczęta w Dorfli uczyć szycia i robienia na drutach!

- A chłopców czytania...

- I wyjdzie za mąż za tego małego pastucha - zakończyła z sarkazmem Eileen.

- Czy takie życie byłoby złe?
- zapytała Jamy z nutą smutku w głosie. - Ja bym chętnie zamieniła swoje na coś podobnego.

Nawet Eileen, która zawsze patrzyła na Heidi z góry, zaczęła być trochę zazdrosna, słuchając opowieści o wakacjach w Dorfli. Kiedy zaś Heidi po zakończeniu szkoły wróciła do domu, towarzyszyły jej najlepsze życzenia wszystkich koleżanek.

XII. Rozbita doniczka

Rozbita doniczka

Pewnego letniego wieczoru, gdy
ostatnie promienie słońca
oświetlały szczyty Falknis,
Heidi siedziała przy oknie swego
pokoju. Serce miała przepelnione
tęsknotą i oczekiwaniem. A
przecież pragnęła jedynie
pozostać tu, aby każdego
wieczoru przyglądać się potędze
i wspaniałości gór oraz aby
muzyka jodeł i modrzewi kołysała
ją do snu. Kochała swego dziadka
i była z nim szczęśliwa.
Dlaczego więc czuła się samotna?

Błądziła myślami bardzo
daleko, gdy nagle zobaczyła
Piotrka idącego z listem w ręku.
List miał urzędową pieczęć i po
otwarciu znalazła w nim
odpowiedź na podanie w sprawie
pracy w wiejskiej szkole.

- Może właśnie na to czekałam?
- powiedziała rozpromieniając
się. - Będę miała jakieś
zajęcie.

- Przecież i dotąd nie
siedziałaś beczynn timer - zauważył
Piotrek.

- Wiem, ale zawsze chciałam
uczyć dzieci.

- Ach, więc tego zawsze
chciałaś, stwierdził Piotrek i
odszedł, pozostawiając ją nad
listem.

Sąsiedzi we wsi radzili jej,
żeby nie składała podania. -
Taka szkoła jak ta, to wstyd i
hańba - mówili. - Nikt nie zdoła
poradzić sobie z okropnie
rozpuszczonymi dziećmi, a
zwłaszcza taka niedoświadczona
dziewczyna. Heidi jednak
pamiętała, że kiedyś i Piotrek
był nieposłuszny,
a przecież
nauczyła go czytać i pisać.
Jeśli mogła to zrobić wtedy, to
tym bardziej potrafi teraz.
Uważała, że gdyby dzieciom w
szkole okazywano życzliwość i
rozumienie, to odpowiedziałyby
tym samym.

Szkoła, w której Heidi chciała
uczyć, stała tuż u stóp Falknis.
Pierwszego dnia przyszła tu
bardzo wcześnie i stanęła przy

oknie, spoglądając na zielone
pastwiska, wysokie jodły,
pofałdowane zbocza wznoszącej
się naprzeciw góry - jej góry.
Wodziła wzrokiem po załamaniach
i zakrętach wąskiej ścieżki,
prowadzącej na halę, aż do domu
dziadka. Zielona trawa po obu
stronach ścieżki nie była wysoka
i bujna jak w dolinie, lecz
niska, delikatna, słodka i
przetykana małymi kwiatkami o
jaskrawych barwach.

Kochała ten widok za oknem. Na
parapecie stała doniczka ze
słodko pachnącą rezedą.
Przyniosła ją z domu na hali.
Widziała go stąd a także
dziadka, który z daleka wyglądał
jak czarna plamka na zielonym
tle. To dobrze, że jest blisko
niego; gdyby pojechała do
Paryża, jak tego pragnęli
Monsieur Rochat i Klara
Sesemann, byłaby tak daleko.
Widziała również przed sobą
Antosia, nowego pasterza.
Piotrek miał już swoje stado kóz
i tymczasem trzymał je w oborze
doktora.

Ten nowy pasterz, pomyślała
Heidi, powinien chodzić do
szkoły. Spojrzała na duży,

szkolny zegar i stwierdziła, że jest spóźniona. Mimo to jej klasa okazała się pusta.

Wszędzie panowała zupełna cisza, zmacona tykaniem zegara. Na dworze nie było widać ani jednego dziecka z wyjątkiem małego pasterza. Minęła dziewiąta, potem dziesiąta. Przeszło południe i żadne dziecko nie zjawilo się. Po południu było tak samo.

- Może dziś jest wolny dzień, a ja o tym nie wiem - zastanawiała się Heidi. Zaczęła zbierać swoje rzeczy, zamierzając wyjść ze szkoły, gdy usłyszała jakieś głosy. Podeszła do okna i zobaczyła całą armię dzieci z krzykiem podążającą ku szkole.

- Pokaż to! Pokaż to! Jeśli tego nie ukradłeś, to dlaczego tak chowasz?

- Powiem o tym sklepikarzowi!
- jeden głos przekrzyczał pozostałe. - On cię wsadzi do więzienia, a to jest gorsze nawet od ciemnicy.

Biegnący przodem chłopiec odwrócił się i Heidi dostrzegła

w jego oczach wyraz przerażenia.
Takie przerażenie odczuwał
zapewne więzień w zamku Chillon
i dziewczyna oczami wyobraźni
zobaczyła znowu wydeptaną w
kamieniu ścieżkę. Otworzyła
gwałtownie okno i zawołała
głośno: - Stójcie! Przestańcie!

- Hej, Chel, popatrz no tam! -
wrzasnęło jedno z dzieci. - Z
okna patrzy na ciebie
nauczycielka! Zobaczysz, co
będzie, jak pójdziesz do szkoły!
Ona wsadzi cię do ciemnicy!

- O jakiej ciemnicy oni mówią?
- zastanawiała się Heidi.
Zdecydowana wyjaśnić całą
sprawę, krzyknęła jeszcze raz do
dzieci. Chel podniósł głowę,
zobaczył ją i znowu się schował.
Po chwili ktoś z grupy podniósł
kamień i rzucił w stronę okna.
Heidi w porę zdążyła się
odsunąć. Zamiast w nią kamień
trafił w doniczkę i kawałki
wypalonej gliny rozleciały się
na wszystkie strony.

Piękny krzak rezedy upadł
połamany na podłogę. Cała
gromada najpierw zamarła,
spoglądając w milczeniu, a potem
rozbiegła się jak stado

wystraszonych wróble. W szkole zapanowała znowu pustka i cisza.

Zmartwiona Heidi zbliżyła się do okna i pozbierała skorupy. Co spowodowało takie zachowanie dzieci? Czyż dawny nauczyciel przestraszył je do tego stopnia? Może przyczyną jest ta ciemnica? Heidi rozejrzała się wokół. Klasa wyglądała prawie tak samo jak dawniej, lecz ławki były okropnie podrapane, a tablica pęknięta. Pośrodku stał piec; dalej sześć rzędów ławek, po trzy z obu jego stron.

Przypomniała sobie, że dawniej przy chłodnej pogodzie, dzieci gromadziły się wokół ciepłego pieca. Wtedy klasa była miejscem zacisznym i bezpiecznym. Nauczycielka zaś przyjazna i życzliwa. Wraz z nastaniem nowego nauczyciela zapanował strach i Heidi łatwo zauważyła tę zmianę. Przy najdrobniejszym przewinieniu stosował surowe kary. Lecz czy mógł być tak okrutny, by wsadzać dzieci do ciemnicy, a jeśli tak, to gdzie się ona znajdowała? Szkoła miała jedną klasę i dwa schowki na ubrania po obu stronach nauczycielskiego stołu. Jeden

dla chłopców, drugi dla dziewczynek. Heidi otworzyła pierwszy z brzegu i zobaczyła, że zdjęto stamtąd wszystkie wieszaki, a małe okienko zabito deskami.

- To musi być ciemnica! -
wykrzyknęła i pospiesznie zamknęła drzwi schowka. Nic dziwnego, że dzieci bały się przychodzić do szkoły.

Nazajutrz izba szkolna znowu była pusta, tak samo następnego dnia. Heidi już się nie dziwiła, ale coś z tym trzeba będzie zrobić. Poczekała do ranka czwartego dnia i wybrała się do kuratora, który mieszkał w domu stojącym na wielkiej skale.

Tuż przed drzwiami natknęła się nieoczekiwanie na małą, kędzierzawą Germaine Grube, która powinna być teraz w szkole. Dziecko stanęło jak wryte ze zdziwienia. Uniosło ręce do góry gwałtownym ruchem, jakby próbując przykryć szopę potarganych włosów.

- Pani jest nową nauczycielką?
- wykrztusiła. - Nie powinna mnie pani zobaczyć. Mama tak

powiedziała. Ja nie nadaję się do chodzenia do szkoły i do spotykania z panią.

Biedny dzieciak zaczął gorzko płakać w obawie surowej kary za niezbyt schludny wygląd.

- A do tego jeszcze idzie mama
- wyszłochała Germaine,
wskazując kobietę idącą w stronę domu z łopata na ramieniu i koszem suchych liści w ręku.
Dwoje małych dzieci trzymało się jej spódnicy, a jeszcze jedna dziewczynka biegła obok, starając się od czasu do czasu chwycić matkę, żeby nie pozostać w tyle.

Kobieta przeszłaby obok nie zatrzymując się, lecz Heidi zastąpiła jej drogę i zaczęła rozmowę.

- Pani Grube, jestem nową nauczycielką i przyszłam dowiedzieć się, dlaczego dzieci nie chodzą do szkoły.

- Słyszałam, że była tam wielka awantura - odrzekła kobieta, opierając się na łopacie. - Wolę, żeby moje dziewczynki odczekały, aż

skończy się bicie. Nie chcę, żeby przyglądały się czemuś takiemu.

- Ależ w szkole nie będzie żadnego bicia - wykrzyknęła Heidi. - Nie zamierzam karać dzieci, które rozbiły doniczkę. Jestem pewna, że stało się to przypadkowo i najlepiej o wszystkim zapomnieć.

- Ale jak się pani dowie - pisnęła Germaine, wyglądając zza matczynej spódnicy - to wsadzi pani Chela do ciemnicy, a my będziemy musieli słuchać jego krzyku.

- Nie wsadzę do ciemnicy Chela ani w ogóle nikogo - oświadczyła stanowczo Heidi. - W tym roku nie będzie ciemnicy. Mam zamiar zrobić tam z powrotem szafę na wasze ubrania.

Zapadła chwilowo cisza, a potem odezwała się kobieta. - Jeśli nawet mówi pani prawdę, to i tak nie pošlę dzieci do szkoły. Gdy człowiek pracuje od rana do nocy, nie ma czasu, by je odpowiednio ubrać. Pani nauczycielka spodziewa się, że przyjdą uczesane, umyte i

schludnie ubrane. Dawny nauczyciel zmuszał je do przychodzenia. Inaczej bym ich nie posyłała, gdy wyglądały tak, jak wyglądają!

- Mam nadzieję, że nie będę musiała stosować przemocy - powiedziała łagodnie Heidi. - Proszę, niech je pani jutro przyśle, a ja dopilnuję, żeby się umyły i uczesały w szkole.

- Bardzo pani uprzejma - wyszeptała kobieta.

Heidi pożegnała ją grzecznie i skierowała się do domu kuratora. Zastała go siedzącego na stopniach ganku i pykającego fajkę z wyraźną przyjemnością. W tym czasie żona przygotowywała mu kolację.

- Przyszłam do pana z prośbą o radę - zaczęła Heidi. - Dzieci nie pojawiają się w szkole i są śmiertelnie przestraszone możliwością zamknięcia ich w ciemnicy. Czy pan wiedział, że poprzedni nauczyciel przysposobił część szatni na więzienie?

- Tak - przyznał chłodno

kurator - wiedziałem. Zawsze pozostawiam nauczycielom swobodę wyboru kar.

- Ależ to jest okropne! - krzyknęła Heidi. - To był okrutny człowiek. Okrucieństwo leżało w jego naturze, bo odnosił się w ten sposób do swoich kóz. Uważam, że na dzieci należy oddziaływać dobrocią i życzliwością.

Kurator roześmiał się cierpko.

- Najpierw niech je pani ściągnie do szkoły, to może się uda. Czy posłać po nie policjanta?

- Dziękuję, nie trzeba - zapewniła Heidi. - Nie wolno ich bardziej przestraszyć. Myślę, że przyjdą z własnej woli.

Rozgoryczona wróciła do domu doktora, gdzie zawsze wstępowała na obiad. Przy stole opowiedziała przyjaciołom o napotkanych trudnościach. Zmartwili się, że nie jest tak szczęśliwa, jak tego oczekiwała.

- Powinnaś - powiedział doktor
- posłuchać mojej rady i kontynuować naukę gry na

skrzypcach.

- Miałaś takie zdolności do rysunków - dodała Brygida.

- Monsieur Rochat powiedział mi, że nigdy nie będę dobrej klasy skrzypaczką. Jestem również przekonana o braku szczególnego talentu malarskiego. Kim więc mam zostać? - zawołała porywczo Heidi patrząc na Piotrka.

- Nie lubię nauczycieli - stwierdził. I to było wszystko.

- Ależ Piotrku, przecież kiedyś uczyłam cię - nastawała Heidi. - Wszystkie dzieci powinny uczyć się w szkole.

- Bądź cierpliwa i próbuj dalej - radziła życzliwie Brygida. - Mieszkańcy wioski są zrażeni, a dzieci jeszcze przestraszone. I nie słuchaj Piotrusia. To woły wprawiły go w zły humor.

- Ach, więc są już woły?

- Trudniej je utrzymać w karności niż kozy - wyznał Piotrek.

Kiedy Heidi zobaczyła, jak
wiezie nowym, zaprzężonym w woły
wozem mleko swych własnych kóz
na sprzedaż do Mayenfeld czuła,
że serce rozpiera jej duma. Cóż
lepszego mógł robić chłopiec z
górskiej wioski, jeżeli nie
hodować kozy i sprzedawać mleko
do wyrobu smacznych serów?
Gerard, rozwijający z
powodzeniem handel jajami, nie
próbował nawet traktować Piotrka
z wyższością. Dawny koźlarz
zaczynał hodowlę od małej
Beksuni, którą Gerard uznał za
nadającą się jedynie pod nóż
rzeźnika. Później, gdy stary
nauczyciel opuszczał Dorfli,
Piotrek odkupił za własne
oszczędności całe jego stadko.

Mimo to chłopiec nie czuł się
szczęśliwy we wsi. Wielki dom
doktora wydawał mu się zbyt
zamknięty
i duszę jego
przepelniały nieokreślone
marzenia. Pragnął powrócić w
góry. Oszczędzał pieniądze, lecz
gdy rozpoczął rozmowę z matką na
temat budowy domu na stoku góry,
ta odpowiedziała: - Po co,
Piotrusiu? Doktor chętnie gości
nas u siebie.

- Stąd niczego nie widać -
oponował Piotrek. - Na ulicy
stale hałas, kozy są z dala ode
mnie, a ja muszę powozić tymi
głupimi wołami. Czuję się jak
przytłoczony jakimś ciężarem.
Pójdę sobie w góry do Stryjka.
On wie, co to znaczy być wolnym.
Tam na górze będę mógł znowu
oddychać.

Halny Stryjek trwał w uporze i
postanowił nie schodzić na zimę
do wioski. Heidi martwiła się o
niego, dopóki nie usłyszała o
częstych odwiedzinach Piotrka.

- Prosił, żeby ci przekazać,
że on ma tam Boga, kozy i jodły
za towarzystwo - oznajmił - i
masz się nie martwić. Wcale nie
jest samotny.

Heidi jednak wiedziała, że
dziadek jej dobro miał przede
wszystkim na względzie, a w
głębi serca tęsknił za
obecnością wnuczki. Przez
pierwsze dni roku szkolnego
zastanawiała się często,
dlaczego w ogóle zdecydowała się
zostać nauczycielką.

XIII. Chel

Rozdział XIII

Chel

Nazajutrz po wizycie u kuratora Heidi przyszła do szkoły i zastała tam gromadkę czekających dziewczynek. Weszły do klasy powoli, chowając się jedna za drugą. W końcu któraś z nich zapytała: - Nie zbije pani tego chłopca, który potłukł doniczkę?

Heidi potrząsnęła głową i uśmiechnęła się lekko.

- I nie wsadzi go pani do ciemnicy?

- W szkole nie ma żadnej ciemnicy - stwierdziła

nauczycielka. - Teraz tam będzie szatnia. Gdy tylko wstawią okno, zaczniecie wieszać swoje okrycia.

Dziewczynki słuchały jej z zadowoleniem, lecz ciągle jeszcze stały, przebierając palcami, jakby miały coś do powiedzenia. Wreszcie odezwała się mała Germaine. - One chciałyby, aby je pani umyła i uczesała. Powiedziałam, że pani im zaplecie warkocze takie jak swoje.

Heidi roześmiała się z ulgą.

- Bardzo się cieszę - powiedziała. - Nie możecie uważać mnie za bardzo straszną, skoro chcecie mieć tak samo uczesane włosy. Która z was potrafi pleść warkocze?

Sądząc po wyglądzie potarganych główek, żadna nie umiała robić tego jak należy. Wszystkie jednak oświadczyły, że chcą się nauczyć.

- Będzie to więc nasza pierwsza lekcja. Ustawcie się w rzędzie od największej do najmniejszej.

Popychając się i chichocząc
dziewczynki wykonały polecenie.
Kiedy stanęły już w szeregu,
Heidi poprowadziła je do studni
i tam wymyła każdej po kolei
twarz, ręce i głowę. Potem
posadziła uczennice na słońcu,
by suszyły włosy, a sama poszła
do klasy po grzebień. Kiedy
uplotła dwanaście lśniących
warkoczy, z dumą spojrzała na
swoje dzieło. - Popatrzcie -
rzekła - teraz już potraficie
robić to same.

Jej wysiłek okazał się owocny.
Dziewczynki patrzyły na siebie
roześmiane i szczęśliwe, a każda
wydawała się odmieniona.

- No a teraz - oświadczyła
Heidi, kiedy znowu ustawiły się
rzędem - powiem wam pewien
sekret. Nie możemy mieć
normalnych lekcji, dopóki
chłopcy nie zaczną chodzić do
szkoły. Odłóżmy więc na razie
książki na bok i nauczymy się
czegoś innego. Ile z was potrafi
robić na drutach i szyć?

Nie podniosła się ani jedna
ręka.

- Dobrze więc - zdecydowała nauczycielka - jutro każda przyniesie podartą sukienkę, pończochę czy koszulę i zaczniemy szycie. Te, które będą się starały i dobrze wykonywały moje polecenia, otrzymają w nagrodę grzebień. Teraz możecie iść i spędzić dzień, jak wam się podoba.

Dziewczynki pobiegły ścieżką, spoglądając na siebie i wciąż nie mogąc uwierzyć w okazaną im życzliwość. Po żelaznej i okrutnej dyscyplinie starego nauczyciela, była to naprawdę wielka odmiana.

Szybko rozniosła się wieść, że nowa nauczycielka jest łagodna i dobra, a uczy dziewczynki tego właśnie co trzeba.

Jednak to chłopiec rozbił doniczkę i dlatego nikt z uczniów nie chciał przyjść pierwszy, aby na niego nie padła wina.

Osiem dni trwały lekcje szycia i robienia na drutach. Obietnica dostania własnego grzebienia działała jak czarodziejskie zaklęcie. Każda dziewczynka

chciała dostać nagrodę, a kilka szczęściarek już ją otrzymało. Takie zajęcia uzyskiwały pełne i gorące poparcie ze strony matek, toteż w klasie pojawiały się wciąż nowe uczennice. Heidi złożyła u wiejskiego sklepikarza takie duże zamówienie na grzebyki, że zaczął ją podejrzewać o prowadzenie pokątnych interesów. Gdy otrzymał kolejną listę z wykazem nici, igieł, miar krawieckich, wełny i innych potrzebnych przedmiotów - był już o tym przekonany.

Heidi miała pełne ręce roboty. Pomagając swoim uczennicom - tej cerowała skarpetkę, innej łątała halkę.

Pewnego razu przed szkołą wybuchła straszliwa awantura. Podbiegła do okna i zobaczyła grupę urwisów obrzucających się wyzwiskami. Wśród nich dwóch mężczyzn usiłowało odciągnąć na bok malca, który bronił się zaciekle kopiąc, gryząc i drapiąc. Obaj mężczyźni nie mogli sobie poradzić, mimo pomocy rozwrzeszczanych chłopców. W końcu pokonany nieszczęśnik wydał rozpaczliwy

krzyk, przenikający wprost do serca Heidi. Przedarła się przez rozgorączkowany tłumek i rozpoznała Chela, który spowodował owo zamieszanie, zakończone rozbiciem doniczki.

- Cóż on takiego zrobił? - zapytała. - Dokąd chcecie go zabrać?

- Co zrobił? - zawołał jeden z mężczyzn. - Niech pani raczej zapyta, czego nie zrobił! Tym razem zaatakował kuratora, który kazał go ukarać. Przyprawiliśmy go do szkolnej ciemnicy.

- Nie! Nie! Tylko nie do ciemnicy! - wrzasnął dzieciak. - Powiedziałem wam, że tego nie zrobiłem. Za nic na świecie nie skrzywdziłbym Śnieżulki!

- Śnieżulki? - zdziwiła się Heidi. - Co ma z tym wspólnego koza kuratora?

- Chel ją zranił - wyjaśnił mężczyzna. - Rzucił kamieniami i złamał jej nogę. Zwierzę nie może chodzić. Kiedy kurator zganił go za to, zaczął rzucać kamieniami i w niego. Musi

zostać ukarany!

- Bardzo możliwe - odparła Heidi. - Lecz na pewno nie zostanie zamknięty. Pomieszczenie to pozbawione jest światła i powietrza, bo okno zabito deskami. Nie wsadziłabym tam dzikiej bestii, nie mówiąc już o dziecku.

- Ale ja tego nie zrobiłem - upierał się chłopiec.

- Co w takim razie wydarzyło się kozie? - odezwał się gniewnie wieśniak. - Nogę ma złamaną, nie może chodzić. Leży na trawie i drży, a weterynarz zjawi się dopiero jutro!

- Biedna Śnieżulka! - szepnął Chel, który na dźwięk imienia kozy zdawał się zapominać o własnym położeniu.

- Dlaczego nie wyjaśnisz nam, co się stało? - zapytała łagodnie Heidi.

Chłopiec pokręcił ze smutkiem głową i nic nie odpowiedział.

- Oto co się stało - powiedział pierwszy mężczyzna. -

Koza zniknęła z pastwiska.
Późnym wieczorem wróciła do
obory kulejąca i pólżywa.
Złamaną nogę miała przewiazaną
szalikiem, w którym chłopcy
rozpoznali własność Chela.
Zawinął jej nogę licząc na to,
że nikt się niczego nie domyśli.

- Nie, to nie było tak -
przerwał Chel. - Zrobiłem to
dlatego, by mogła wrócić do
obory i nie cierpiała tak
bardzo.

- Słyszycie! Przyznał się, że
dotykał kozy! - zawołał drugi
mężczyzna.

- Wiedziałaś więc, że koza
złamała nogę? - upewniała się
Heidi, która instynktownie
uwierzyła w jego niewinność. -
Jak do tego doszło, skoro nie
została uderzona kamieniem?

- Ona spadła ze skały - odparł
ze smutkiem Chel.

Heidi wydawało się to
prawdopodobne. Przypomniała
sobie, ile razy kozom groziło
takie niebezpieczeństwo, gdy
Piotrek pasał wiejskie stado.

- Jeśli spadła ze skały, to w jaki sposób weszła do góry z powrotem? - zainteresował się jeden z widzów. - Może opatrzyłeś jej nogę na dnie urwiska?

- Zszedłem na dół i pomogłem Śnieżulce wspiąć się do góry - odpowiedział Chel.

- Słyszycie, co on wygaduje! - jeden z mężczyzn zwrócił się do gromady. - Nie mogłeś być na łące w pobliżu kóz, bo widziałby cię pasterz.

- On nie potrafi powiedzieć prawdy - stwierdził trzymający chłopca wieśniak. - Chodź chłopcze do ciemnicy.

- Nie! Nie! - krzyknęła Heidi.
- Ja na to nie pozwolę!

Gdy mężczyzna pociągnął go za sobą, Chel znowu zaczął się opierać. - Ja nic nie zrobiłem - wołał w stronę Heidi.

- On rzucił kamieniem w okno klasy i rozbił nauczycielce doniczkę! - krzyknęło jedno z dzieci.

Nowa fala przerażenia
przemknęła po twarzy malca i
spojrzał z takim wyrazem, jakby
chciał powiedzieć - teraz to już
koniec...

- To nie ma nic wspólnego z
obecną sprawą - szybko wtrąciła
Heidi. - Nikt nie wie, czy
rzeczywiście zranił kozę. Nie
możemy go ukarać, dopóki nie
będziemy mieli pewności.
Tymczasem zaś zostawcie chłopca
pod moją opieką. Zabiorę go do
doktora Reboux, który - jestem
tego pewna - chętnie weźmie
odpowiedzialność za niego.

Mężczyźni zgodzili się
zadowoleni, że pozbędą się
kłopotu. Lekcja szycia tego dnia
została na dobre przerwana, więc
Heidi zwolniła dziewczynki i
zabrała Chela do domu. Całą
drogę przeszedł w milczeniu,
lecz na progu nagle spróbował
się wyrwać. Właśnie w drzwiach
ukazał się doktor i Heidi
oznajmiła pogodnie: - Oto syn
marnotrawny. Czy przygotował pan
tłustego cielca na jego
przybycie? Chłopiec jest bardzo
wystraszony - dodała
poważniejszym tonem. - Pewnie
będzie wdzięczny za miękkie

łóżko, zaraz po tym jak sobie
poje trochę chleba z serem.
Chyba da się to załatwić?

- Spróbuję. Wchodź synu. Nikt
ci tu nie zrobi krzywdy -
zapewnił poczciwy doktor. - Masz
jakieś kłopoty? Porozmawiajmy o
tym i wyjaśnijmy całą historię.

Chel popatrzył na niego
wystraszonymi, półdzikimi
oczami, po czym odwrócił wzrok
opowiadając tę samą,
niewiarygodną historyjkę, co
przed szkołą.

- Chel, czy rozumiesz, że chcę
ci pomóc? - spytał doktor, gdy
chłopiec skończył.

- Tak - odparł zapytany - ale
nie wiem, dlaczego.

- Dlatego, że i ja byłem
kiedyś chłopcem i wiem, co się
czuje, gdy postąpiło się źle i
dręczy lęk przed wykryciem.
Widzisz
więc synu, że możesz
mówić do mnie tak otwarcie jak
do ojca. Czy powiedziałeś nam
prawdę?

Zdziwienie Chela zdawało się

rosnąć z minuty na minutę.
Zdawało się, że nie rozumie słów
doktora. Milczał długo i
niepewnie spoglądał na jego
twarz.

- Powiedz mi Chel. Nie bój się
- nastawał doktor.

I wreszcie, jakby się ocknął z
jakiegoś snu, chłopiec głęboko
odetchnął i powtórzył wyraźnie:
- Tak, powiedziałem prawdę. Nie
rzucałem kamieniami w Śnieżulkę.
Jest najpiękniejszą kozą w
okolicy i nie skrzywdziłbym jej
za nic na świecie.

- Wierzę ci - odparł pan
Reboux. - Wciąż jednak czegoś
nie rozumiem. Oni twierdzą, że
pastuch widziałby cię na łące,
gdzie pasły się kozy.

- To nie tam się stało.
Śnieżulka spadła z innej strony.

- Dalej nie rozumiem. Kozą
chodziła ze stadem. W którym
więc miejscu spadła?

Chel nie odpowiedział.

- Widziałeś wypadek? -
zapytała Heidi.

- Nie, słyszałem tylko
beczenie w dole na skałach -
mówił prędko, unikając wzroku
Heidi.

- No a ty, gdzie wtedy byłeś?
- zainteresował się doktor.

Chel znowu milczał.

- Posłuchaj - próbowała go
przekonać nauczycielka. - Pan
doktor zadaje ci te pytania dla
twego dobra. Jeśli zdoła
wszystko wytłumaczyć
rozgniewanemu kuratorowi, to nie
zostaniesz ukarany. Gdy zaś
zrobiłeś coś złego i szczerze
żałujesz, dopilnujemy, by ci
przebaczone. W każdym razie na
pewno nie pójdziesz do ciemnicy.
Nikt tam nie będzie siedział,
dopóki ja będę nauczycielką.

- Tak pani mówi, bo pani nie
wie, co ja zrobiłem - wymamrotał
chłopak z oczami utkwionymi w
podłogę. - To ja rzuciłem
kamieniem i rozbiłem doniczkę.

- Czy teraz tego żałujesz? -
spytała.

Skinął głową twierdząco, nie

podnosząc oczu.

- A więc w porządku. Daj mi rękę i spójrz na mnie. Widzisz, wcale się nie gniewam. Ponieważ okazałeś skruchę, wybaczam ci i nie będziemy o tym więcej mówić. Sprawa jest skończona i zapomniana.

Ciepły blask zapłonął w oczach Chela, gdy spojrzał na Heidi.

- Czy nadal nie chcesz powiedzieć, gdzie byłeś i gdzie spadła koza, by można to wyjaśnić innym ludziom?

Chłopiec spuścił głowę i potrząsnął nią przecząco.

- No cóż, zostawmy to na razie
- powiedział dobrotliwie doktor.
- A nuż się rozmyśli, gdy coś zje.

Zawołał Brygidę i poprosił o dodatkowe nakrycie na stole. Kiedy poczciwa kobieta zobaczyła chłopca, spojrzała nań bardzo nieufnie. Słyszała różne, okropne historie o nim i jego ojcu, który był uważany za postrach okolicy.

Gdy wrócił Piotrek i dowiedział się o zranieniu Śnieżulki, trudno go było przekonać o niewinności malca.

- Dlaczego go bronisz? - zwrócił się do Heidi. - Jeśli jest niewinny, powinien opowiedzieć całą prawdę.

- Może ma powody do milczenia - zauważyła dziewczyna. - Powinieneś to zrozumieć. Tobie również niełatwo przychodziło mówienie. Ten chłopiec bardzo cię przypomina. Mógłbyś takim zostać, gdyby nie matka i ociemniała babka, która uczyła cię tego co słuszne.

- I ty Heidi - dodał Piotrek. - Pamiętam, że prosiłaś mnie, abym nie bił kóz, a ja ciągle nosiłem leszczynowe kije, żeby cię dręczyć. Przecież prawie nigdy ich nie używałem.

- Tego chłopca nie trzeba uczyć dobroci dla kóz. On już jest dla nich dobry. Inaczej nie zawiązałyby Śnieżulce tak starannie nogi. Powinniśmy nauczyć go życzliwości wobec ludzi, co będzie trudniejsze, gdyż byli dla niego okrutni. Ale

jeśli ktoś może tego dokonać, to tylko doktor. Czy nie mam racji?

- Myślę, że tak - odparł Piotrek. W końcu on również wydawał się zadowolony z tego, że Chel zostanie na obiedzie.

XIV. Rozmowa z doktorem

Rozdział XIV

Rozmowa z doktorem

Następnego dnia rano doktor zastał Chela całkowicie pochłoniętego obserwacją wiszącego na ścianie obrazka. Zbliżył się do chłopca, który gwałtownie podskoczył i odwrócił głowę z takim wyrazem twarzy, jakby został przyłapany na niedozwolonej czynności.

- Możesz oglądać ten obrazek,
jak długo zechcesz - powiedział
uprzejmie doktor. - Podoba ci
się?

- Tak, przepiękna jest na nim
biel. Wszystkie kwiaty są białe,
ale nie wiem, jak się nazywają.

Pan Reboux przez chwilę
patrzył w milczeniu na chłopca.
Spod dzikiego spojrzenia
wyzierało niezwykle
uduchowienie, jakby zaskoczono
go, gdy klęczał przed ołtarzem.

- Widzę, że potrafisz
rozpoznać i docenić piękno -
powiedział doktor. - Próbowalesz
czasami rysować lub malować?

Chel nie odpowiedział od razu,
tylko obejrzał się bojaźliwie. -
Czy nauczycielka poszła już
sobie? - zapytał szeptem.

- Tak, dziś jest niedziela i
wybrała się na górę do dziadka.

- A Piotrek? Piotrek uważa
mnie za winnego, wiem o tym.

- Nic podobnego - zaprzeczył
doktor. - On po prostu jest

jeszcze młody i niecierpliwy, a w moim wielkim domu czuje się jak ryba wyrzucona z wody. Przyzwyczał się do przebywania z kozami na hali.

- Wiem, co czuje - powiedział Chel i zacisnął wargi w obawie, że powiedział coś, co powinien zatrzymać dla siebie.

- A poza tym - zauważył starszy pan - Piotrek jest bardzo przywiązany do Śnieżulki.

- Ja też byłem do niej przywiązany - chłopiec ze smutkiem odwrócił oczy.

Brygida przygotowała bardzo dobre śniadanie dla małego obszarpańca, ale ten jadł bez apetytu.

- Wypij mleko - powiedziała, podsuwając mu bliżej kubek.

- Nie mam ochoty na kozie mleko - odparł - zjem tylko ser.

Po śniadaniu Chel wrócił do swego pokoju i doktor dał mu książkę.

- Muszę pójść do chorego -

oświadczył - a ty zostań tutaj do mego powrotu. Nie możesz opuścić domu, dopóki nie wyjaśnimy kuratorowi wypadku z kozą. Taką złożyłem obietnicę, więc widzisz, że ten dom jest właściwie twoim więzieniem.

- Podoba mi się tutaj - zapewnił Chel, rozglądając się z zadowoleniem. Widać to więzienie bardzo przypadło mu do gustu.

- W takim razie obiecaj mi, że zaczekasz na mnie. Możesz czytaniem skrócić sobie czas.

- Nie umiem czytać - stwierdził poważnie Chel, siadając z książką na kolanach.

Po wizycie u chorego doktor pomyślał, że nie zaszkodzi samemu porozmawiać z kuratorem, zanim zacznie zadawać pytania chłopcu. Cała sprawa była bardziej skomplikowana, niż wydawało się na początku. Chodziło nie tylko o to, kto zranił kozę, lecz kto zranił duszę chłopca i jak można mu pomóc.

Pan Reboux zastał kuratora klęczącego w obórcie przy

zranionej Śnieżulce. Pomrukiwał coś do siebie i można było zauważyć, że jest bardzo rozgniewany. Na pytanie jak się czuje koza i czy był weterynarz - odpowiedział: - Był, naturalnie, że był. To mnie będzie sporo kosztowało! Niech pan podejdzie i spojrzysz - skinął na doktora. - Cały czas tak leży na słomie. Biedne zwierzę bardzo cierpi, a ponadto nie daje mleka. Ona lepiej niż inne kozy wie, gdzie znajdować najsmaczniejszą trawę i dlatego ma znakomite mleko, choć nigdy nie dawała go dużo. Mniej od pozostałych, ale za to smakowało jak nektar kwiatowy. A teraz niech pan patrzy, co ten mały zbój z nią zrobił!

- Ma pan na myśli Chela? -
upewnił się doktor. - Właśnie w jego sprawie tu przyszedłem. Widzi pan, jestem przekonany, że chłopiec nie skaleczył Śnieżulki. On ją kocha i cierpi z powodu tego wypadku. Jestem pewny, że koza skądś spadła, a Chel nie obrzucił jej kamieniami.

- Tak pan myśli? - zawołał kurator, którego gniew wzrastał

w miarę, jak pan Reboux
usprawiedliwiał chłopca. - Cała
dolina zna wybryki tego łobuza.
Kłamie, kradnie i rzuca
kamieniami! Nie ma tu jednego
domostwa, gdzie by się go nie
obawiano!

- W moim domu zachowywał się
bardzo dobrze - odpowiedział
spokojnie doktor.

- Dobrze się zachowywał, co? -
prychnął sarkastycznie kurator.

- Przecież on nie ma pojęcia o
dobrym wychowaniu! Na pewno
wyuczył się niejednej sztuczki
od swego ojca, który zginął
podczas któregoś z nocnych
wypadów. Nikt nie wie, gdzie się
włóczy. A niech no tylko ktoś
każe mu popracować! Wystarczy
spojrzeć na te delikatne rączki
i od razu wiadomo, że nigdy nic
nie robiły.

Złość rozwiązała kuratorowi
język. Nigdy dotąd nie był tak
elokwentny. Doktor słuchał ze
smutkiem potoku oskarżeń.
Polubił Chela i chciał go
skierować na właściwą drogę.
Poza tym wiedział, że Heidi mu
zaufała, a ona rzadko myliła się
w takich sprawach.

Chel nie powiedział wiele, to
prawda, lecz jego charakter
wydawał się odmienny od tego, co
mówili i myśleli o nim
mieszkańcy wsi.

W każdym razie doktor był
pewien, że malec nie skrzywdził
kozy kuratora. Wyczuwał to i nie
wątpił w swoją intuicję.

- Cokolwiek bądź ten chłopiec
zrobił, to tym razem osądza go
pan niesprawiedliwie -
oświadczył stanowczo. - Nie
widzę powodu, aby dłużej
traktować go jak więźnia.
Dlatego zwrócę mu wolność i mam
nadzieję, że zacznie chodzić do
szkoły.

Kurator nawet nie chciał tego
słuchać.

- Heidi - powiedział - nigdy
nie da sobie rady z tym
chłopakiem. Wiedziałem, że cały
ten pomysł z kobietą -
nauczycielką źle się skończy.
Przekonywałem radę szkolną, ale
oni postanowili dokonać zmian.
No to je mają. Lekcje szycia! I
żaden chłopiec nie chce przyjść
do szkoły. Jeszcze tydzień

takich eksperymentów i pośle policjanta, aby ich przyprowadził, bez względu na to co mi Heidi opowiada. Dobrocią można coś działać z dziewczynkami, ale chłopakom potrzebna jest męska ręka.

- Niech mi pan pozwoli zająć się tym dzieckiem na mój własny sposób - poprosił pan Reboux.

- Proszę bardzo! Niech się pan nim zajmuje. Ja umywam ręce od całej tej sprawy. - Kurator po tych słowach odwrócił się i poszedł do domu.

Po powrocie do domu doktor zastał Chela pochylonego nad książką, którą mu pozostawił. Na widok opiekuna Chel błyskawicznie schował coś w kieszeni. Na moment zrodziło się w doktorze podejrzenie, szybko jednak je odrzucił. Chel nie mógł schować czegoś, co ukradł w jego domu! Wydawał się szczerze uradowany przybyciem starszego pana.

- Nie jesteś już więźniem - zapewnił doktor. - Powiedziałem kuratorowi, że jestem przekonany

o twojej niewinności.

- Czy uda się nastawić nogę Śnieżulce tak, aby nie kuląła? - zaniepokoił się chłopiec.

- Tak, był weterynarz - odpowiedział doktor zdziwiony, że Chela bardziej obchodzi koza niż własny los. - Możesz stąd odejść, kiedy zechcesz, ale przychodź wieczorami, ilekroć będziesz miał ochotę. Zaczynaj też koniecznie naukę w szkole.

Twarz Chela wyrażała obawę, gdy zapytał: - czy muszę iść do szkoły?

- Kiedyś będziesz musiał, więc równie dobrze możesz zacząć teraz. I jeszcze jedno - ciągnął dalej - poszukaj sobie jakiejś pracy, wszystko jedno jakiej. W Mayenfeld są duże gospodarstwa i tam na pewno znajdziesz jakieś zajęcie. Każdy powinien pracować. Staraj się także jeść regularnie i nie włócz się po nocach, bo ludzie są podejrzliwi. Mówię ci to wyłącznie dlatego, żebyś szedł właściwą drogą i by tak nie było, że cokolwiek się wydarzy, wszyscy wołają: "To zrobił

Chel!"

Cała radość zniknęła z twarzy chłopca. Wyciągnął do doktora rękę, podniósł oczy pełne smutku i już go nie było.

XV. Piotrek idzie przodem,

a Heidi za nim

Rozdział XV

Piotrek idzie przodem,

a Heidi za nim

Szacunek i podziw dla Heidi rosły w Dorfli niemal z dnia na dzień. Matki i babki otwierały zdumione oczy, widząc jak dzieci wspaniale pracują w szkole. Nowych rzeczy uczyli się zarówno

chłopcy jak i dziewczęta.
Wszyscy wrócili do szkoły i
rozpoczęły się regularne lekcje,
gdy tylko rozeszła się wieść, że
Chel przyznał się do rozbicia
doniczki z rezedą.

Któregoś dnia Heidi weszła do
klasy i zobaczyła nową doniczkę
z kwiatami, stojącą na
zewnątrznym parapecie. Otworzyła
okno i do klasy przeniknął
delikatny zapach białych,
alpejskich fiołków.

- Kto je tu postawił? -
myślała uszczęśliwiona.

Podejrzewała Chela, skąd
jednak wziąłby taką piękną
doniczkę i kwiaty? Ponadto,
jeśli zależy mu na zrobieniu jej
przyjemności, to dlaczego nie
przyszedł do szkoły? Nikt go nie
widział od tygodni. Nigdy więcej
nie pojawił się w domu doktora,
który był niepocieszony.
Wyrzucał sobie, że wypędził
chłopca nie upewniwszy się,
gdzie i z kim mieszka i co ma
zamiar dalej robić.

Od czasu do czasu młoda
nauczycielka pytała dzieci i
dorosłych mieszkańców wioski,

czy nie wiedzą, co się stało z Chelem. Nie pojawił się w Dorfli nawet po jedzenie i nikt nie miał pojęcia, gdzie sypia. Dowiedziała się tylko, że gdy ojciec odumarł go przed laty, sześcioro wieśniaków ofiarowało się zapewnić mu utrzymanie i dach nad głową. Przebywał z nimi bardzo rzadko, przychodząc tylko od czasu do czasu na posiłek. Ostatnio jednak nie widziano go dość dawno. Nikt nie wiedział, co się z nim stało i większość pytanych mało to obchodziło.

Heidi była coraz bardziej niespokojna. Wiezorami klękała przy oknie, wpatrując się w dal, na góry i czując się w ten sposób bliżej Boga. Modliła się, by chronił Chela i skłonił go do powrotu.

Pewnego wieczoru, gdy dziadek położył się spać, Heidi stała przy oknie, wpatrując się w gwiazdy i księżycową poświatę otulającą wierzchołek Falknis.

W blasku księżycy było coś niepokojącego, wzbudzającego obawę. Nie było w nim tego przyjaznego ciepła, które daje słońce ani piękna różowego

światła wieczorów. Księżycowa poświata zmieniała lodowce w połyskliwe zjawy, a szczeliny między nimi napełniła czarnymi cieniami. Heidi mimo woli zadrżała i już miała zamknąć okiennice, gdy usłyszała szybkie kroki przed domem i za chwilę stukanie do drzwi. Zeszła pospiesznie na dół i zapytała - kto tam?

- Proszę mnie wpuścić! - ktoś zawołał. - Mam nowiny!

Heidi otworzyła drzwi.

- Piotrku! To ty? Co robisz o tej porze tutaj? - spytała z nagłą obawą. - Czy coś się stało z matką? Może z doktorem?

- Nic się nikomu nie stało - odparł uspokajająco. - Dowiedziałem się, gdzie podziewa się ten chłopiec i pomyślałem, że może chcesz tam pójść i zobaczyć.

- Dowiedziałeś się czegoś o Chelu? Opowiadaj Piotrku!

- Nic nie mogę powiedzieć - odparł - ale mogę pokazać ci, dokąd on chodzi.

- Pokazać? Chcesz, żebym poszła tam teraz?

- Tak, jeśli zechcesz, możesz pójść teraz. Jest pełnia księżycy i z łatwością znajdę drogę.

- Nie Piotрку, nie mogę wyjść tak po prostu w środku nocy - sprzeciwiła się dziewczyna. - Powiedz mi tylko, czy on jest bezpieczny.

- On nigdy nie był bezpieczny
- uśmiechnął się Piotrek.

- A więc poczekaj do rana i wtedy pójdę z tobą. Możesz spać tutaj. Teraz mamy dużo miejsca. Jutro, zaraz o świcie pójdę dokąd zechcesz i możesz mi pokazać to, co masz do pokazania. A teraz dobranoc! - Z tymi słowami Heidi pobiegła do siebie na górę, pozostawiając chłopca samego. Tę noc spędził on w nowym łóżku, które dziadek wykonał z białych desek.

Gdy tylko wstało słońce, Piotrek zawołał Heidi, ale ona była już ubrana i gotowa do wyjścia.

- Chodźmy więc - powiedziała.

- Mam nadzieję, że pamiętasz,
dokąd obiecałeś mnie
zaprowadzić.

- Naturalnie, pamiętam
doskonale - odparł. - Wczoraj
przeszedłem tę ścieżkę. Możemy
ruszać?

- Wypij najpierw trochę mleka
i zjedz kawałek chleba. Ja też
coś zjem. Nie możemy wyjść bez
śniadania. Kto wie, co się może
zdarzyć - dodała z uśmiechem.

- Kto wie? - powtórzył Piotrek
i też się uśmiechnął.

Dziadek, który wczoraj
wieczorem wstał i ułożył gościa
do snu, teraz przywitał go
serdecznie.

- Idziemy do górskiego
kościółka - oznajmił chłopiec. -
Nie będzie ci chyba nas
brakowało Stryjku. Masz przecież
do towarzystwa kozy, jodły i
kościelne dzwony we wsi. Nie
wykluczone, że kiedy wrócimy,
będziesz miał jeszcze jednego
gościa przy stole.

Wyruszyli w doskonałych
nastrojach. Różowe obłoczki
płynęły po niebie; jeszcze
trochę i wszędzie słońce w całej
swej krasie. Rosnące wzdłuż
ścieżki jodły odcinały się
ciemnymi sylwetkami na tle
wschodzącej jasności i każda z
nich była inna. Piotrek wybrał
ścieżkę prowadzącą do grzbietu
przełęczy. Wspinali się w
milczeniu, a wszystko dokoła
płonęło i migotało: kwiaty przy
ścieżce, modrzewie na stoku,
nawisy skalne nad ich głowami.
Wszystko wydawało się odziane w
odświętne stroje.

Wędrowali już ponad godzinę i
dochodzili prawie do przełęczy.
Nagle Piotrek zszedł ze ścieżki
i skręcił w lewo na porośnięty
drzewami stromy stok. Z brzegu
lasku gęstwina wydawała się
nieprzenikniona. Olbrzymie jodły
rosły bardzo blisko siebie; tu i
ówdzie leżały powalone pnie, a
martwe, splątane gałęzie
zagradzały drogę. Chłopiec
przedzierał się, nie zważając na
przeszkody. Przeskakiwał jak
wiewiórka przez konary i
spiętrzone drzewa.

Heidi zatrzymała się. -

Piotrku, nie zdołamy tędy
przejsć - oświadczyła. -
Musiałeś pomylić drogi.

- Niczego nie pomyliłem -
odparł chłopak. - Popatrz, jak
zaznaczyłem drzewa!

W tej chwili ujrzała świeże
nacięcie na korze. Teraz
uwierzyła, że nie błądzą.

- Chodź, możesz śmiało iść ze
mną - zachęcał, podając jej
rękę, by pomóc w pokonywaniu
przeszkód.

Wahała się przez moment, ale w
końcu ujęła wyciągniętą dłoń i
bezpiecznie wdrapała się wyżej.
Prowadził ją za sobą przez
zwarty gąszcz, czołgając się po
starych, zmurszałych pniach,
depcząc warstwy igliwia i
suchych patyków. Cały czas z
uwagą wypatrywał swoich znaków,
wskazujących właściwą drogę.
Osłaniał dziewczynę i cierpliwie
odgarniał na bok wszystkie
przeszkody, aby łatwiej mogła
nadażać za nim. Wreszcie wyszli
na polanę, pozostawiając za sobą
gmatwaninę gałęzi, krzaków i
korzeni.

Heidi nigdy nie miała przed
oczyma piękniejszego widoku od
tego, który roztaczał się przed
nią. Zalana słońcem łąka pełna
była przeróżnych kwiatów. Rosły
tam czerwone pierwiosnki,
bladnoróżowe zawilce, słodko
pachnące fiołki i cudownie
błękitne gencjany. W niebo
strzelały tuż przed nią
ośnieżone górskie szczyty. W
skalnych rozpadlinach lśniły
olbrzymie lodowce wyglądające
tak, jakby lada chwila miały się
zsunąć w dolinę - jak wielkie
rzeki zamarłe w bezruchu. Kwiaty
mienią się wszystkimi kolorami
na tle lśniącego srebrzyście
lodu i śniegu.

- Piotrku! Piotrku! Pamiętasz
babcię i Jej pieśń o ogrodzie? -
Ogarnięta radością Heidi z
trudem znajdowała słowa.
Wszystko zdawało się unosić
przed jej oczami, skąpane w
czarującym blasku poranka.
Podbiegła do brzegu łąki i
ogarnęła spojrzeniem całą dolinę
aż po Mayenfeld. Jakież
poszarpane i ostre były górskie
szczyty! Lśniły jak ostrza nad
przepaściami. Pochyliła się nad
krawędzią, by sprawdzić, jak
głęboki jest spadek i poczuła,

że Piotrek ciągnie ją za sukienkę.

- Heidi, uważaj! Stąd właśnie spadła Śnieżulka - zawołał.

- Śnieżulka? A skąd ty o tym wiesz? Kto ci to powiedział?

- Chel - odparł chłopiec po prostu.

- Pewnie zaprzyjaźniłeś się z nim. Powinnaś się tego domyśleć. On jest taki podobny do ciebie.

- Mogłabyś także zaprzyjaźnić się z nim, gdybyś nie była nauczycielką. Lecz teraz chodźmy, jesteśmy już prawie na miejscu.

- Prawie? - zdumiała się Heidi. - Piotrusiu, dokąd mnie prowadzisz? - Ogarnął ją lęk. - Czy to ojciec pokazał Chelowi tę drogę? We wsi mówią, że był przemytnikiem. Czyż po tych skałach przeprowadzał się z kontrabandą?

- Tamtędy nikt nie zdoła zejść - stwierdził Piotrek, wskazując skalny występ. - Ojciec Chela nigdy nie prowadził go tą drogą.

Dzieciak znalazł ją sam. Nie
powinnaś wierzyć wszystkiemu, co
ludzie opowiadają we wsi.

- Wiem, że są pełni uprzedzeń
i przesądów - zauważyła Heidi. -
Wszystko, czego nie rozumieją,
traktują podejrzliwie. Dlatego
chcę, aby dzieci rosły i
rozwijały się, rozumiejąc świat
w większym stopniu niż ich
rodzice. Tego pragnę ich
nauczyć. Wy tłumacz mi, dlaczego
powiedziałeś, że mogłabym
zaprzyjaźnić się z Chelem,
gdybym nie była nauczycielką?

- On się ciebie boi - wyjaśnił
Piotrek. - Chciał przyjść do
szkoły po tym, jak okazałaś mu
życzliwość. Któregoś dnia
przyszedł i zobaczył, że okienko
szatni jest wciąż zabite
deskami.

Zrozumiał więc, że
nadal jest tu ciemnica i
przestraszył się. Widzisz, on
bardzo często nie wie, co dobre,
a co złe, dopóki nie zostanie
ukarany.

- Rozumiem - bardzo wolno
powiedziała Heidi. Słowa Piotrka
dały jej dużo do myślenia. -
Muszę koniecznie zrobić coś z

tym okienkiem - postanowiła. -
Jutro pomówię o tym z kuratorem.

XVI. Odkrycie talentu

Rozdział XVI

Odkrycie talentu

Szli oboje ostrożnie wąską ścieżką po zboczu urwiska. Heidi mocno trzymała się jedną ręką dłoni Piotrka, a drugą krzaków i skarłowaciałych drzewek, wyrastających ze skalnych szczelin. Wreszcie dotarli do występu, wysuwającego się jak spory dach ze zbocza. Pod nim była już niewielka płaszczyna, dość bezpieczna dla przechodzących.

Heidi spojrzała w dół, ku

rozwierającej się u jej stóp
przepaści i zadrżała. Kiedy
odwróciła głowę, zobaczyła, że
stoi przed wejściem do dużej
jaskini.

- Piotrku, co to jest? -
zaczęła, gdy jakiś głos zawołał.
- Nie wolno ci tu wchodzić! To
jest moje, słyszysz, to jest
moje! Nie pozwolę ci tu wejść!

Był to Chel, który już schylał
się, by podnieść z ziemi kamień.
Piotrek jednak mocno chwycił go
za ramię.

- Poczekaj no, chłopcze! -
powiedział spokojnie i
stanowczo. - Czy tak wita się
gościa? Chciałem pokazać
nauczycielce twoje schronienie,
ale skoro tu jesteś, możesz
zrobić to sam.

Oczy chłopca błyszczały dziko.

- Już ja jej pokażę! -
zawołał. - Nie pozwolę zabrać
swoich rzeczy!

- Chel, ona niczego ci nie
zabierze!

- Ona jest nauczycielką!

- Tak - potwierdził Piotrek, patrząc na Heidi z dziwnym grymasem twarzy. - Mimo to dla mnie jest wciąż tą samą małą dziewczynką, która chodziła ze mną na hale. Ucieszy się tak samo jak ja, kiedy odkryjesz przed nią swój sekret.

- Ja sam znalazłem to miejsce - zachlipał malec. - Ono jest moje i nikt nie powinien mnie tu znaleźć.

- Dlaczego boisz się, że ktoś cię znajdzie? - zaciekawiała się Heidi. - Cóż możesz ukrywać tak wysoko?

Piotrek słysząc to, roześmiał się i chłopiec popatrzył na niego niepewnie.

- Pokaż jej Chel swoją tajemnicę. Przyszliśmy po to, by mogła ją zobaczyć.

- Nie zabierzesz mi niczego, jak nauczyciel? Pozwolisz zajmować się tym dalej? - upewniał się, prawie pogodzony z obecnością gościa.

- Nie zabiorę niczego, co

należy do ciebie. Piotrek może
zaświadczyć, że mówię prawdę.

- Więc wpuścisz nas do środka?

- spytał Piotrek.

Chłopiec wahał się jeszcze
chwilę, popatrzył na nich, a
potem odsunął się na bok,
pozwalając wejść do środka.

Światło słoneczne przenikało
do jaskini na niewielką
odległość od otworu, dalej
wszystko było pogrążone w mroku.
Przy wejściu stały prymitywnie
wykonane sprzęty - stół i ławka.
Stół tworzyła nieheblowana
deska, położona na czterech
wbitych w ziemię podpórkach.
Podobnie wykonano ławkę.
Wszędzie dokoła pełno było
pokruszonych kawałków wypalonej
gliny. Heidi musiała pochylić
głowę, aby wejść do jaskini. Na
zaproszenie Piotrka usiadła na
ławeczce i rozejrzała się
ciekawie. Zobaczyła kilka
arkuszy papieru pokrytych
malowidłami. Teraz dopiero
zrozumiała, dlaczego leżało tu
tyle skorup. Używano ich do
rozrabiania farb. Kolory ich
były wręcz zdumiewające - nigdy
takich nie widziała! Przyjrzała

się obrazkom.

- Co to jest? Kto to zrobił? -
zapytała.

- Ja to zrobiłem - Chel mówił
tak, jakby przyznawał się do
winy.

- Ależ one są piękne! -
wykrzyknęła zafascynowana tym,
co ujrzała. Obraz przedstawiał
białe róże i lilie rosnące na
grobie. Bluszcz o zielono_żółtej
barwie owijał się wokół kwiatów
i nagrobnej płyty. Heidi trwała
w milczeniu, starając się
przypomnieć sobie, gdzie już to
widziała. Wreszcie rozpoznała w
rysunku niemal dokładną kopię
obrazu, wiszącego w domu
doktora. Mimo dziwacznej
kolorystyki, podobieństwo było
uderzające. - Czy sam wszystko
namalowałeś? Te róże, lilie,
bluszcz? - pytała zdumiona.

Chel przytaknął z oczami
utkwionymi w ziemię.

- Nie zabierzesz mi niczego i
nie zabronisz malować? - odezwał
się głosem pełnym niepokoju. -
Piotrek obiecał, że tego nie
zrobisz. Gniewasz się na mnie?

- Mój drogi chłopcze! Gniewać się na ciebie? Skądże znowu! Cieszę się ogromnie. Jak bardzo ucieszy się doktor, gdy się dowie o twoim wielkim talencie!

- A ja myślałem, że postępuję źle - wykrztusił Chel. - Nauczyciel mówił, że malowanie to zły uczynek. On... on zabrał mi moje rysunki i wsadził mnie do ciemnicy.

- Słyszysz? - wtrącił Piotrek.

- Słyszę - odparła dziewczyna.

- Biedny, głupi nauczyciel! Że też nie zdołał rozpoznać talentu. Pewnie rysowałeś wtedy, gdy kazał robić ci coś innego, prawda Chel? To było właśnie przyczyną konfliktu. W mojej szkole są lekcje malowania i jeśli przyjdiesz, dostaniesz dobre farby i zobaczysz, jak będą wtedy wyglądały twoje kwiaty! Powiedz mi teraz, czy cały czas przebywałeś w tej jaskini? Spędzasz w niej noce?

W jednej chwili w wyrazie twarzy chłopca dokonana się zmiana. Odrzucił głowę do tyłu, już nie wyglądał jak zaszczute

zwierzątko.

- Nie gniewasz się na mnie! -
zawołał. - I dasz mi dobre
farby! Moje kwiaty będą piękne!
Chcę ci wszystko opowiedzieć.
Ale od czego mam zacząć?

- Powiedz, co robiłeś i gdzie
przebywałeś wtedy, gdy nie było
cię przez wiele dni i nikt nic o
tobie nie wiedział - podpowiadał
mu Piotrek.

- Od dawna nie było przy mnie
ojca, a matki prawie nie
pamiętam - mówiło dziecko,
wznosząc ufnie oczy. - Chodziłem
razem z innymi chłopcami i
często się kłóciliśmy i
obrzucaliśmy kamieniami. Kiedy
ja trafiłem któregoś, to zaraz
krzyczał, że poskarży się ojcu.
Potem jego ojciec przychodził i
bił mnie. Ale kiedy oni we mnie
rzucali, nie miałem się komu
poskarżyć. Tak więc w końcu
odchodziłem coraz dalej i dalej,
aby nikt nie mógł mnie znaleźć.
Im dalej szedłem, tym
piękniejsze znajdowałem kwiaty.
Chciałem je wszystkie zerwać.
Zbierałem wielkie pęki, ale
wieczorem więdły i traciły
barwy. Pomyślałem więc sobie, że

gdybym je namalował, wtedy byłyby ze mną zawsze. Zacząłem rysować kwiaty ołówkiem, który wzięłem ze szkoły. Papier miałem również stamtąd. Lecz nauczyciel nie miał farb i próbowałem zrobić je sam. Bez kolorów kwiaty nie wyglądały jak prawdziwe.

Heidi słuchała go z uwagą i zachwytem. - A Więc sam sporządziłeś te farby? To wspaniałe, Chel! Jak ci się udało?

- Początkowo rozgniatałem kwiaty - wyjaśnił - ale z płatkami nic mi nie wychodziło. Tylko je niszczyłem. Wtedy zacząłem gniesć czarne jagody i uzyskałem piękną czerwono-fioletową farbę. Później znalazłem w lesie malutkie czerwone jagody dające głęboką czerwień i wreszcie odkryłem kwiat, z którego zrobiłem żółty barwnik, a z liści zielony. Najtrudniej było zrobić pędzle. Używałem więc palców i łyżeczek, ale to nie nadawało się, bo nie trzymała się ich farba.

- Chel - przerwał Piotrek, widząc, że pochłonęły go sprawy

malowania - może opowiesz,
dlaczego nie chodziłeś na
posiłki do wsi, jak to ustalono
po śmierci twego ojca?

- Byłem w kilku domach -
zaczął chłopiec - ale wszędzie
mnie łajano. Czasem, gdy
zbierałem kwiaty na łące,
spotykałem kozę i ona dawała mi
mleko. Najbardziej lubiłem mleko
Śnieżulki. Znała mnie dobrze i
zawsze przybiegała na mój widok.
Pewnego dnia powiedziałem jej:
"Śnieżulko, przyniosę ci
najlepszą trawę, jaką tylko
znajdę na górze, a ty za to
będziesz mi dawała mleko".

- Tego nie należało robić -
stwierdził Piotrek. - Skoro ona
należy do kuratora, to do niego
należy również jej mleko. Nie
można ubijać interesów z cudzymi
kozami!

Chel okazał wielkie
zdziwienie. - Ależ ja jej
dawałem tyle smacznych rzeczy do
jedzenia - bronił się. - Żadna
koza nie była tak dobrze
karmiona. Któregoś dnia,
przedzierając się przez
gęstwinę, dotarłem aż tutaj.
Szukałem takiego miejsca, w

którym mógłbym ukryć moje
papiery i farby i skąd nikt nie
mógłby zabrać mi rysunków. Kiedy
wyszedłem z lasu na polanę z
tyloma pięknymi kwiatami,
zacząłem biegać od jednego do
drugiego. Śnieżulka podskakiwała
przy moim boku. Szła za mną całą
drogę przez las i gęstwinę, taka
jest sprytna. Powiedziałem jej,
aby czekała na mnie, póki
oglądam kwiaty, a potem
pójdziemy narwać jej ulubionych
ziół. Obejrzałem kwiaty i
zebrałem duży bukiet dla kozy i
wtedy zobaczyłem, że zniknęła.
Wołałem i wołałem, aż usłyszałem
w odpowiedzi słabe beczenie,
takie jakim odpowiada na moje
wołanie, Słyszałem głos, ale
nigdzie jej nie widziałem.
Patrzyłem na skały i tam jej nie
było. W końcu odkryłem, że
beczenie dochodzi spod wielkiego
nawisu skalnego. Opuściłem się w
dół na rękach i kolanach i
odkryłem wejście do tej jaskini.
Śnieżulka pobekiwała, jakby
chciała powiedzieć - widzisz,
znalazłam dla ciebie piękną
kryjówkę. Możesz tu schować
swoje rzeczy i nikt ich nigdy
nie znajdzie. To było to, czego
szukałem. Byłem tu bezpieczny,
spokojny i mogłem rysować.

Zrobiłem sobie ten stół i ławkę.
Kózka przychodziła do mnie
często. Pewnego razu zamiast
obejść skałę dokoła, próbowała
zejść bezpośrednio nad jaskinią.
Poślizgnęła się i spadła tak, że
złamała nogę. Widzicie więc, że
nie rzucałem kamieniami w nią.
Kurator kłamie! Ale w niego
rzuciłem, to prawda.

- To nie było właściwe -
powiedziała Heidi. - Nigdy
więcej tego nie rób.

- Zamkniesz mnie w ciemnicy,
jeśli to zrobię?

- Nie zamykam dzieci w
ciemnicy - oburzyła się Heidi.

- Ale ciemnica ciągle jest w
szkole - upierał się Chel. -
Wiem, bo widziałem, kiedy
przyszedłem z kwiatami...

- Ach, Chel! - wykrzyknęła
Heidi. - Nareszcie dowiedziałam
się, kto przyniósł mi te piękne
kwiaty. Tak bardzo się
cieszyłam. Teraz będę podwójnie
szczęśliwa wiedząc, że to od
ciebie. Pamiętałeś o mnie,
choć nie wróciłeś do szkoły.
Ale dlaczego? Czy tylko z obawy

przed zamknięciem?

- Nigdy nie pójdę do szkoły, w której jest ciemnica -
oświadczył stanowczo Chel. -
Nigdy! Jak długo będę żył!

-

Dużo musiałeś w niej
przesiedzieć - zauważył Piotrek.
- Jak tam było i dlaczego
nauczyciel tam cię wsadzał?

- Zamykał mnie tam za każdym
razem, gdy przyłapał mnie na
rysowaniu - wyjaśnił Chel. -
Lecz moje obrazki podobały się
żonie pastora. Była dla mnie
bardzo dobra i kilka razy za
rysunki dawała mi chleb. Czasem
dostawałem od niej stare ubranie
jej synka. Ta doniczka do
fiołków to też od niej.
Pastorowa starała się również,
aby nauczyciel opuścił wioskę.
Pewnie dlatego ty jesteś teraz w
szkole - dodał, zwracając się do
Heidi.

- Myślę, że tak - zgodziła się
z nim dziewczyna. - Żona pastora
sama była kiedyś nauczycielką i
jest bardzo dobrą kobietą.

- Teraz już tam nie chodzę -

ciągnął Chel. - Raz niosłem jej kilka obrazków i zobaczyli mnie jacyś chłopcy. Pobiegli za mną i starali się odebrać mi rysunki. Powiedzieli, że ukradłem coś w sklepie. Wtedy złapałem jednego z nich i dałem mu pięścią w nos tak mocno, że stoczył się ze wzgórza. Upadł na skałę i zrobił sobie dziurę w głowie. To było wtedy, gdy wyszłaś przed szkołę, a ja potłukłem doniczkę. Później, kiedy kurator mnie oskarżył i broniłem się przed zamknięciem w ciemnicy, przyszałaś i uratowałaś mnie! Pomagałaś mi, więc postanowiłem ofiarować ci doniczkę, którą dostałem od pastarowej.

- Miałaś zamiar wrócić do szkoły, prawda? Tylko zobaczyłaś tę ciemnicę.

- Tak - przyznał Chel. - Lecz teraz nie możesz zmusić mnie do chodzenia do szkoły.

- Biedny Chel! - westchnęła Heidi, kładąc mu czule ręce na ramionach. - Nie będę próbowała cię zmuszać, ale powinieneś skończyć z dzikim życiem w lesie i tajemnymi wędrówkami po górach. Zamieszkaś z moim

dziadkiem, który jest bardzo stary i czuje się samotny, bo ja cały dzień przebywam w szkole. Będzie rad z twego towarzystwa.

- Nie sądzisz, że lepiej będzie, jeśli pójdzie ze mną do wsi? - wtrącił Piotrek. - Przypadł doktorowi do serca, a jeśli dowie się o jego zdolnościach, zechce go kształcić tak jak ciebie. Lepiej zrobi, jeżeli wróci do wsi.

- Ale dziadek jest taki samotny...

- Doktor bardzo go lubi...

Chel patrzył na nich, zastanawiając się czy to nie sen, z którego za chwilę się obudzi. Do tej pory nikt go nie chciał i nie potrzebował. Traktowany był jak wyrzutek, obrzucany kamieniami, zamykany w ciemnicy. Prześladowany - żył życiem dzikusa i bał się wszystkich. Teraz otwierały się przed nim dwa domy. Tak cudowna odmiana losu wydawała się wprost nieprawdopodobna.

- Ale jeśli zamieszkać z doktorem, to czy będę mógł

przychodzić czasami do jaskini?

- zapytał Chel.

- Będziemy przychodzić tu często wszyscy razem - odparła Heidi. - Pokażę ci, jak posługiwać się farbami. Będiesz mógł namalować wszystkie piękne kwiaty na tej łące. Teraz musimy już wracać. Pokażesz mam drogę do domu?

- Mam zabrać swoje rzeczy? - spytał chłopiec, obejmując wzrokiem ubogie gospodarstwo.

- Weź tylko rysunki, aby je pokazać doktorowi. Resztę zostaw, wszystko to może poczekać na ciebie w tej twierdzy.

Chel zgarnął papiery i ruszył przodem, wskazując drogę na łąkę wzdłuż wąskiej półki skalnej. Zatrzymali się jeszcze przez chwilę, by popatrzeć na białe wierzchołki, lśniące piramidy śniegu i rozciągający się za nimi rajski ogród.

- Powinniśmy tu przyjść - powiedziała w końcu Heidi. - Miałeś rację Piotрку, że mnie tu przyprowadziłeś. Rozumiem,

dlatego dziadek pragnie
mieszkać na swojej górze.
Stokrotne dzięki za wspaniałą
niespodziankę!

XVII. Poruszenie we wsi

Rozdział XVII

Poruszenie we wsi

Chel spędził noc w tym samym pokoju, w którym próbował przerysować białe kwiaty z obrazka. Tym razem, gdy wszedł doktor, nie próbował niczego ukrywać. Siedział zajęty kopiowaniem kwiatów na kawałku papieru do pakowania. Doktor dał mu czysty arkusz i dwa dobrze zaostrzone ołówki, a potem zdjął obrazek ze ściany i ustawił przed chłopcem.

- No, teraz możesz pracować choćby cały dzień. Na razie nie musisz iść do szkoły. Zanim jednak zabrudzisz czysty papier, idź do studni z Brygidą, a ona pokaże ci, jak należy się myć.

Chel w milczeniu popatrzył na swoje nowe narzędzia pracy, coś sobie przypomniał i powiedział:
- dziękuję - po czym posłusznie pobiegł do studni.

Po lekcjach wpadła na chwilę Heidi, aby zobaczyć, jak się sprawy mają. Pozostała krótko, ponieważ pragnęła jak najprędzej porozmawiać z kuratorem. Kiedy doszła do jego domu, wychodził właśnie z obory.

- Jak się miewa Śnieżulka? -
zapytała nauczycielka.

- Jest w dobrym stanie, mimo że ma nogę w łupkach - odparł kurator. - Ach, co to za sprytna mała bestyjka. Jaka inteligentna! Zupełnie inna niż pozostałe. Za nic w świecie nie chciałbym się z nią rozstać. Odkąd złamała nogę, zauważyłem u niej zmianę, której nie mogę zrozumieć. Daje znacznie więcej

mleka, ale nie jest ono takie jak poprzednie. Brak mu tego delikatnego, wspaniałego smaku.

Heidi uznała, że nie jest to właściwy moment do rozwiązania dręczącej kuratora zagadki. Dla niej sprawa była zupełnie jasna. Teraz jednak miała inne sprawy do omówienia.

- Doktor wziął Chela pod swoją opiekę i być może zechce go adoptować - zaczęła. - Przyszłam do pana z prośbą o dokonanie pewnych zmian w szkole, aby chłopiec nie bał się do niej przychodzić. To prosta rzecz - chodzi o usunięcie desek z okna w szatni i wstawienie na to miejsce szyby.

Kurator stanął jak wryty i patrzył na Heidi, jakby mówiła w obcym języku. Minęło kilka minut, zanim odzyskał głos. Kiedy się już odezwał, dziewczynę zdumiała gwałtowność jego wypowiedzi.

- Od początku istnienia tej szkoły mówiłem, że nie chcę, aby uczyła w niej kobieta. Ale nawet ja nie przypuszczałem, że dojdzie do czegoś podobnego! Czy

myślisz, że zadałem sobie trud
urządzenia ciemnicy tylko po to,
aby teraz wszystko zniszczyć? I
z jakiego powodu? Żeby najgorszy
chłopak, włóczęga znany w całej
okolicy nie bał się przyjść do
szkoły! Jakiś nicpoń, który nie
ma nic lepszego do roboty, jak
dokuczanie zwierzętom? My mamy
przygotować szkołę dla niego?
Ach tak! Naturalnie, że tak! -
Tak był wzburzony, kiedy mówił,
że drżały mu ręce. Nienawiść i
uprzedzenie tego człowieka
wydały się Heidi niepojęte.
Wszystko, czego potrzebował
Chel, to trochę dobra i
życzliwości.

- Nie będę się wypowiadała na
temat Chela - oświadczyła. - Pan
ma tak jednoznaczne opinie, że
samymi słowami nie zdołam ich
zmienić. Chłopiec sam pokaże,
jaki jest naprawdę. Jeśli zaś
chodzi o moją prośbę, to nie ma
w niej nic nadzwyczajnego. W
szkole jest ciemnica, a w całym
Dorfli nie ma matki, która nie
chciałaby zamienić jej na powrót
w szatnię. Jeśli odmówi mi pan,
to proszę poszukać kogoś innego
na moje miejsce. Nie chcę
ponosić odpowiedzialności za
straszenie małych dzieci.

W tej chwili mała Nanni, która nie przepuściła ani słowa z rozmowy ojca z nauczycielką, pobiegła co sił w nogach do sąsiedniego domu.

- Germaine! Germaine! Chodź tutaj! Szybko! - wołała do swojej przyjaciółki, pomagającej matce w kuchni.

Germaine wybiegła, pospiesznie wycierając ręce w fartuch.

- Nauczycielka chce odejść! Co my zrobimy? - wykrztusiła podniecona Nanni.

- Co się stało? Czy nie jesteśmy posłuszne? Czy nie lubimy lekcji szycia i zajęć artystycznych? Dlaczego chce nas opuścić? - spytała Germaine.

- Bo mój ojciec zabił deskami okno w szatni! - krzyknęła Nanni i pobiegła do następnego domu.

Germaine także pospieszyła z tą tragiczną wieścią. Wieczorem cała wieś wiedziała tylko, że Heidi chce odejść, ale nikt nie był pewien przyczyny. Jedno, co powtarzano dokoła to: "Dlatego,

że kurator zabił deskami okno!"

Kiedy mieszkańcy wioski, mniej lub więcej dotknięci nowiną, uporali się z domowymi obowiązkami, zaczęli gromadzić się na drodze. Wreszcie skierowali się ku domowi kuratora. Gdy ten zobaczył wchodzących po zboczu ludzi, wyszedł im na spotkanie przekonany, że Chel wywołał znowu zamieszanie i wioska ruszyła przeciw niemu. Jednak to co usłyszał od wieśniaków, różniło się zasadniczo od jego wyobrażeń. Rozgniewane kobiety od razu go zaatakowały pytając, dlaczego to chce zwolnić Heidi z posady. Jeśli dziewczyna domaga się czegoś niezwykłego, to na pewno ma ku temu powody. One, matki, lepiej niż kto inny znają jej wartość i nigdy nie wyrażą zgody na zwolnienie takiej dobrej nauczycielki!

Tuż za kobietami zjawili się mężczyźni, by zobaczyć, co się dzieje. Ich opinie były takie same. Dlaczego pozwolić odejść komuś tak oddanemu swojej pracy? Odkąd Heidi zaczęła uczyć w szkole, wszystko we wsi zmienia się na lepsze. Samą szkołę

trudno poznać, taka jest czysta
i zadbana. Dzieci są schludne,
grzeczne i rzadko się kłóca.
Nie, oni również nie zgodzą się
na jej odejście. A w ogóle - co
to za okno, które zabito
deskami?

Kiedy wreszcie dopuszczono
kuratora do głosu, wyjaśnił, że
cała sprawa jest prosta. Chodzi
o wstawienie szyb i zrobienie
szatni ze szkolnej celi
więziennej. Jednak nie do
przyjęcia jest postawa
nauczycielki wobec tego chultaja
Chela. Znalazł się on pod opieką
doktora, namówionego oczywiście
przez nią. Doktor podobno ma
zamiar adoptować chłopaka!

Ze wszystkich stron rozległy
się okrzyki zdziwienia.
Mieszkańcy wioski myśleli, że
Heidi stawiała jakieś
nierozsądne żądania. To zaś było
nie tylko rozsądne, ale i
sprawiedliwe. Jeśli chodzi o
Chela to fakt, iż Heidi udało
się go poskromić, świadczy, że
dziewczyna ma charakter.

Wszyscy też ofiarowali swą
pomoc przy zmianach w szkolnych
pomieszczeniach. Kurator nie

mógł uwierzyć własnym oczom i uszom.

- Ona jest w porządku, muszę przyznać, ale ten mały nicpoń! Jeszcze zobaczycie! Jeszcze zobaczycie! - mruzczał gniewnie wracając do domu.

Po kilku tygodniach dzieci zobaczyły w klasie porządnie ubranego chłopca, rysującego przy małym, ustawionym pod oknem stoliku. Malował obraz mieniący się pięknymi kolorami i siedział z głową nisko pochyloną nad papierem.

- To musi być artysta - szepnęła jedna z dziewczynek cichutko, siadając na swoim miejscu.

Chłopiec był tak pochłonięty pracą, że nawet nie drgnął i klasa nie widziała jego twarzy. Nagle jednak bystrooka Germaine pochyliła się do ucha sąsiadki i szepnęła: - To jest Chel! Popatrz, założę się, o co chcesz, że to Chel!

- To niemożliwe - odparła Nanni. - Mój ojciec właśnie

dzisiaj powiedział, że jeszcze się dowiemy, jakie to sztuczki wyprawiał, gdy nie przychodził do szkoły!

- Jednak to jest Chel -
upierała się Germaine.

Po lekcji zatrzymała się i odwróciła właśnie w tej chwili, gdy chłopiec podniósł głowę. W lśniących trzewikach, białej koszuli i ubranku tak nowym, jak niedzielne stroje innych dzieci - siedział przy stoliku Chel! Rozpoznała go natychmiast, choć zmienił się bardzo, a zwłaszcza wyraz jego twarzy. Germaine raz jeszcze obrzuciła nowego ucznia uważnym spojrzeniem i wybiegła na dwór.

Nikt dzisiaj nie zatrzymywał się po drodze. Wszystkie dzieci pędziły do domów tak prędko jak mogły, by podzielić się wielką nowiną.

Przez cztery tygodnie Chel płonąc entuzjazmem, pracował niemal bez przerwy pod opieką i kierunkiem doktora. Zrobił tak znaczne postępy, że nawet Heidi i Piotrek, którzy w niego bardzo wierzyli, byli zdumieni. Doktor

trzymał go z dala od innych
dzieci, bo chciał przede
wszystkim poobserwować i lepiej
poznać chłopca. Ponadto pragnął,
aby nic nie pozostało z dawnego
Chela i pojawił się nowy,
odmieniony.

Heidi kilkakrotnie chodziła z
nim do jaskini. Pomagała mu
rysować alpejskie kwiaty rosnące
na polanie, którą oboje z
Piotrkiem postanowili nazwać
"zaczarowanym ogrodem". Gdy
wspólnie pracowali, oczy dziecka
promieniały szczęściem. Mógł
malować, ile dusza zapragnie bez
ukrywania się. Nie potrzebował
też sam wyrabiać farb i
pędzelków. Heidi chwaliła go i
powtarzała, że jeśli będzie
robił takie postępy,
niewątpliwie zostanie wielkim
artystą. W takich chwilach serce
Chela przepęłniała radość. Lecz
od czasu do czasu jakiś cień
przesłaniał rozpromienione oczy
i na twarzy pojawiał się wyraz
strachu. Na pytania nauczycielki
odpowiadał, że to nic takiego i
uśmiechał się z wysiłkiem.

Po bliższym przyjrzeniu się
jednemu z rysunków, Heidi
zauważyła:

- Bardzo mi się to podoba, ale dlaczego kwiaty mają inny odcień różowego niż te na obrazie, które kopiujesz?

- Znam bardzo dobrze te kwiaty
- odparł pospiesznie Chel. - One mają taki właśnie kolor. Często im się przypatrywałem, rosną bowiem blisko jaskini. Jest ich tam mnóstwo.

Heidi uśmiechnęła się. - A więc słusznie postąpiłeś, malując je w ten sposób. To, że tak dobrze znasz kwiaty, pomoże ci w pracy. Muszę powiedzieć o tym doktorowi.

Na wzmiankę o doktorze promienna twarzyczka Chela powlekła się smutkiem.

- Co się stało? - zapytała Heidi. - Chyba nie masz nic przeciw temu, abym powiedziała doktorowi o twojej znajomości kwiatów?

- Nie. Och nie! To nie to - wybuchnął chłopiec, odwracając głowę.

- A więc co? Powiedz mi

wreszcie, co cię gnębi?

- Za każdym razem kiedy czuję się szczęśliwy, tak szczęśliwy, że chce mi się płakać z radości, w oczach pojawia mi się straszny obraz. Doktor mnie opuszcza, albo znowu mówi, że jestem wolny. Wtedy pozostaję sam, zupełnie sam; zmuszony rzucać kamieniami we własnej obronie i ukrywać się gdzieś daleko, by móc malować. Potem, któregoś dnia dopada mnie kurator, bije mnie i nie ma nikogo, kto by mi pomógł. Bo ja jestem niczyj, jestem niczyj! No i wtedy koniec wszystkiego! - powiedział chłopiec z prawdziwą rozpaczą.

- Chel! - wykrzyknęła Heidi, biorąc go za rękę. - Nie powinienes tak myśleć! Należysz do doktora. Przyjął cię na zawsze i chce być dla ciebie ojcem. Wiesz przecież, że dziecko należy do ojca?

- No tak - odrzekł Chel z powątpiewaniem - ale czy jesteś pewna?

- Chodźmy teraz do domu - powiedziała - i doktor sam ci to powie. Potem już będziesz

zupełnie pewny i przestaniesz się martwić.

Gdy wrócili do domu, doktor przekonał Chela, że Heidi powiedziała mu prawdę. Chłopiec ujął wyciągniętą ku sobie życzliwą dłoń i uścisnął tak, jakby nigdy nie miał zamiaru jej wypuścić. Potem otarł łzy i uśmiechnął się.

- Jeśli teraz ktoś zechce mi zrobić krzywdę, to ja też mogę powiedzieć: "Poskarżę się mojemu ojcu". Czy nigdy mnie pan nie opuści? - zapytał.

Doktor objął go czule i jeszcze raz powtórzył, że od tej chwili jest jego synkiem i będzie z nim mieszkał całe życie.

XVIII. Chel spłaca długi

Rozdział XVIII

Chel spłaca długi

Przemiana, która dokonała się w Chelu, dała mieszkańcom wioski temat do rozmów na długi czas. Poza tym Heidi przypisali zasługi za wszystko dobre, co się wydarzyło w Dorfli i okolicy. Wszyscy uważali, że najgorszym dla nich wydarzeniem byłoby odejście jej ze szkoły. Nawet kurator był o tym przekonany.

Do końca następnej jesieni wszystko szło jak z płatka. Chel siedział w klasie i milcząc pracował razem z innymi dziećmi. Heidi mogła tak łatwo obserwować, jak rysuje. Pomimo wszystko pozostawał z boku dziecięcej gromadki i stał się bardzo zamknięty w sobie. Ale był pilnym uczniem w innych poza rysunkami szkolnych przedmiotach i niebawem wyprzedził wielu tych, którzy go wyszydiali i drażnili.

Najszczęśliwszą porą dla Chela

był wieczór. Doktor siadał wtedy przy nim i czytał mu książki, podczas gdy chłopiec malował. Zwykle były to historie biednych chłopców, takich jak on, którzy stawali się wielcy i sławni. Doktor opowiadał mu o szkołach w Lozannie i Paryżu, gdzie profesorowie uczą rysunku i malarstwa.

W niedzielę odkładał chłopiec książki na bok i często po nabożeństwie szedł z opiekunem na górską polanę, gdzie ciągle jeszcze kwitły wytrwale kwiaty.

Heidi i Piotrek byli jedynymi, którzy wiedzieli o celu tych wypraw. Mieszkańcy wioski na widok tej pary mówili zdziwieni: - Jak to się stało, że taki mały włóczęga stał się najbardziej schludnym i grzecznym chłopcem w okolicy.

Jeszcze jedno stworzenie wiedziało o pięknym ogrodzie wysoko w górach i przychodziło tam bardzo często, lekko utykając, by przytulić się do Chela. Była to Śnieżulka. Chłopiec nie zapomniał, gdzie można znaleźć smakowitą trawę i zioła, które tak bardzo lubiła.

Kochał tę starą kozę jak
drogiego przyjaciela. Gdy byli
na hali Heidi i Piotrek, koza
dzieliła swą sympatię jednakowo
między ich troje.

Pod koniec zimy doktor wysłał
do znajomego profesora we
Frankfurcie list następującej
treści:

"Drogi Profesorze!

Jakiś czas temu pytał mnie
Pan, czy słyszałem o kimś, kto
zna dobrze rzadkie kwiaty
rosnące w Alpach i byłby na tyle
dobrym artystą, aby zrobić
ilustracje do Pańskiego
podręcznika botaniki. Jeśli
nadal szuka Pan takiej osoby, to
mogę polecić mego przybranego
syna, który posiada potrzebne
kwalifikacje. Ma nie tylko
głęboką wiedzę o kwiatach ale i
autentyczny talent malarski.
Będę z przyjemnością oczekiwać
Pańskiej odpowiedzi.

Tymczasem zaś pozostaję

szczerze Panu oddany

Wiktor Reboux"

Kilka dni później przyszła odpowiedź. Tak więc wczesną wiosną, gdy tylko pojawiły się pierwsze kwiaty, doktor wysłał Chela, by zebrał najdoskonalsze egzemplarze każdej odmiany. Umieścił je w szklanym naczyniu i kazał mu narysować je najlepiej, jak potrafi.

Czasem w tych wyprawach towarzyszyli mu Heidi i Piotrek. Razem zbierali piękne bukiety i Chel nie mógł zdecydować, które chwile były dla niego najszcześniejsze. Czy te, kiedy pracował pod kierunkiem doktora, czy te spędzone na łące nie będącej już kryjówką i schronieniem, lecz kochanym i znanym ogrodem. Często miał ochotę rzucić się na ziemię i wziąć w ramiona wszystkie rosnące tu kwiaty.

Dla Heidi te wędrówki były

korzystną odmianą po rutynie szkolnych zajęć. Wracała stamtąd odświeżona i wypoczęta, a także bliska czasom dzieciństwa, kiedy chodzili z Piotrkim na pastwiska.

Niemal zawsze szła za nimi Śnieżulka. Sprytna kózka szybko zauważyła, że Chel idzie codziennie w góry. Nie przepuściła okazji, by przebywać z nim aż do powrotu do domu i przyjąć z jego ręki ulubione zioła. Piotrek wyjaśnił wszystko Antosiewi i gdy z dala pojawiała się wioska, Chel żegnał się z ulubienicą.

- Wracaj do swego pasterza Śnieżulko - mówił do niej. - Będzie lepiej, gdy zobaczą cię wracającą ze stadem.

Pewnego wieczoru, gdy Chel wrócił z wyprawy, doktor wręczył mu paczuszkę.

- Chłopcze - zwrócił się do niego - już nie potrzebujesz mojej pomocy. To zapłata za świetną pracę. Wszystko należy do ciebie - i pokazał mu znajdujące się w kopercie pieniądze.

Chel zdziwił się tak bardzo,
że stracił mowę. Lecz nagle na
jego twarzy pojawił się wyraz
smutku i lęku, a chłopiec
odwrócił się od stołu.

- Jak to, nie cieszysz się? To
twoje pierwsze honorarium! -
zawołał doktor.

- Pan już nie chce, żebym tu
dalej mieszkał, kiedy zacząłem
zarabiać - powiedział Chel. -
Jeśli tak jest, to ja nie chcę
tych pieniędzy.

- Nie zrozumiałeś mnie -
odparł doktor. - Myślałem tylko,
że nikt we wsi nie sądził, abyś
potrafił pracować i zarabiać na
życie. Teraz wszyscy zobaczą, co
potrafisz! Profesor jest tak
zadowolony z twojej pracy, że
proponuje ci kontynuowanie
ilustracji jego książek. Po
pierwszym tomie będą inne, a za
każde nowe wydanie też ci
zapłacą. Zobaczysz! Im
doskonalsza będzie twoja praca,
tym więcej będziesz jej miał.
Jestem bardzo szczęśliwy!

- To należy do pana i
nauczycielki - stwierdził

chłopiec, wskazując pieniądze. -
Nauczyciście mnie wszystkiego,
co umiem.

- Ależ nie! To była twoja
praca. Żadne z nas nie chce
twoich pieniędzy. Odłóż je na
razie, dopóki nie będą ci
potrzebne. Może jest coś, na co
chciałbyś je przeznaczyć?

- Tak. Jest coś - odpowiedział
Chel.

- Ile ci potrzeba?

Pomyślał chwilę i oznajmił:

-
Potrzebuję sześć takich
banknotów.

Doktor ze zdziwieniem
popatrzył na chłopca, ale miał
do niego zaufanie i postanowił
dać mu tyle pieniędzy, ile sobie
życzy.

Chel wziął banknoty i wyszedł.
Nie poszedł daleko - tylko do
małego domku na skraju wsi. Tam,
w głównym pokoju położył na
stole jeden banknot i zawołał:
"Zapłacone!"

Biegał po wsi, aż odwiedził

wszystkie sześć domów, w których kiedyś jadał i sypiał. W każdym robił to samo. Gdy oddał dług w szóstym domu, zawołał:
"Zapłacone całej wiosce!"

Bo Chel nigdy nie zapomniał tego dnia, kiedy mu powiedziano, że jest ciężarem dla wsi - takim nicponiem, który nie potrafi docenić dobrego jedzenia i łóżka!

XIX. Nagroda dla Heidi

Rozdział XIX

Nagroda dla Heidi

Mieszkańcy Dorfli burzliwie komentowali fakt, że Chel nie tylko zarobił pieniądze, ale pierwszą jego myślą był zwrot

czegoś, czego nawet nie uważali za dług. Ten spisany na straty nicpoń i ladaco, zdobył wreszcie szacunek wioski. Całą zasługę ucywilizowania małego włości przypisano Heidi. Nikt nie chciał brać pod uwagę jej odejścia ze szkoły.

- Widzisz, co narobiłaś - strofował ją Piotrek, gdy wspinali się wąską ścieżką do domu dziadka. - Doprowadziłaś do tego, że uznano cię za osobę niezastąpioną. Nie pozwolą ci zostawić szkoły, a kiedy Stryjek będzie niedołączny, jak sobie poradzi sam?

- Już o tym myślałam - odparła Heidi, wzdychając. - Staram się, jak mogę, żeby wszyscy byli zadowoleni i to jest właśnie moja nagroda.

- Cóż, zawsze chciałaś uczyć dzieci.

- Tak. Lecz widzisz, teraz już nie jestem tego taka pewna - wyznała dziewczyna. - Czasami czuję się w klasie przytłoczona, tak jak ty w domu doktora. Wtedy gorąco pragnę przebywać cały dzień na górze, gdzie widzę

dolinę i czuję się wolna. Poza tym dziadek mnie potrzebuje. Często powtarza mi, że się starzeje i prosi, bym się z nim modliła. Wczoraj powiedział, że to będzie jego ostatnia zima i w oczach miał coś takiego... Przestraszyłam się, Piotрку. Spogląda tak, jakby widział coś poza nami; zupełnie jak babka, gdy zaczęła tęsknić do swego zaczarowanego ogrodu. Nie zniosę tego, jeśli on umrze! - krzyknęła w nagłej udręce. - Zostanę wtedy zupełnie sama. Nie, jesienią już nie pójdę do szkoły. Nie obchodzi mnie, co powie kurator, ja nie mogę wrócić do pracy.

- Kto więc zajmie twoje miejsce?

- Napiszę do Jamy - odparła Heidi. - Jej się bardzo tutaj podobało. Chciała spędzić u nas wakacje, więc napiszę i zapytam, czy zechce przyjechać i uczyć w szkole.

Jamy ucieszyła się ogromnie z zaproszenia. Po przyjeździe zastała dom na hali pogrążony w smutku. Dziadek był bardzo chory. Tłumaczył wprawdzie, że

to tylko starość, ale było
widoczne, że bardzo cierpi.
Ciągle przywoływał do siebie
Heidi.

- Jestem przy tobie, dziadku -
powtarzała za każdym razem. Gdy
się upewnił co do tego, zaczynał
wołać Piotrka.

Jamy weszła do pokoju i ujęła
rękę chorego. Głos miała ciepły
i współczujący.

- Ja też jestem tutaj -
powiedziała - i Heidi nie musi
pana zostawić. Przyjechałam
uczyć dzieci, więc nie
pozostanie pan teraz sam.

- To nie ma znaczenia - odparł
dziadek. - Heidi zostanie sama,
kiedy mnie zabraknie. Kto
zamieszka w moim domu? Kto
zatroszczy się o Białaskę i
Burskę. Powiedz Heidi, żeby tu
przyszła. Heidi! Heidi!

- Jestem tu - odpowiedziała
jak zwykle. - Jestem tu przy
tobie razem z Jamy. Nie odejdę
stąd.

Dziadek opadł na poduszki,
westchnął i wziął wnuczkę za

rękę.

- Przeczytaj mi jakieś psalmy
- poprosił. - Te, które czytałaś
niewidomej babce. Niech Jamy je
przyniesie, są gdzieś u Piotrka.

Książka z psalmami została
przyniesiona, przyszedł również
Piotrek. Usiadł przy łóżku i
słuchał skupiony, jak Heidi
czyta łagodnym głosem:

"Troski i smutki@ niech
skończą się jutro,@ wzburzone
morza@ niech cisza ukoi;@
szalone wichry cichną i pojawia
się słońce."@

Heidi przerwała na chwilę i
zdawało się, że wiatr szumiący w
gałęziach umilkł wraz z nią. Na
twarzy dziadka malował się
spokój i zadowolenie.

- Czy ból trochę ustąpił? -
zatrzaszczyła się.

- Tak, tak - odrzekł. - Nic
mnie nie boli. Czytaj dalej. Ten
psalm jest dłuższy.

Łzy napłynęły do oczu
dziewczyny, gdy przeczytała:

"I tak pełnia spoczynku@ wraz z błogosławioną ciszą,@ czekają tam na mnie@ w tym ogrodzie najpiękniejszym z pięknych,@ w tym domu, ku któremu mój duch stale tęskni."@

Po odczytaniu ostatnich słów psalmu, w pokoju nastąpiła cisza. Słychać było tylko oddech dziadka i szum jodeł za oknem.

Czy to prawda, myślała Heidi, że gdy ludzie są już starzy, to zaczynają tęsknić do miejsc wysoko położonych? Czy dziadek tęskni za tym ogrodem niebieskim, tak jak ona i Piotrek tęsknią za górami. Gdy są we wsi, to wszystko wydaje im się ciasne i szczelnie zamknięte.

- A teraz zagraj mi - odezwał się głucho dziadek. - Niech usłyszę, jak grasz ten psalm na skrzypcach.

Heidi posłusznie wzięła do rąk skrzypce, a melodia drżała i łkała. Była w niej tęsknota i oczekiwanie. Tęsknota za życiem tak wielka, że niemal ją dławiała, gdy spoglądała na górskie szczyty, a one nagle

płonęły w ogniu zachodzącego słońca. Była w tej melodii również tęsknota dziadka i niespokojny duch Piotrka. Nagle Piotrek wstał. - Wyjdę na chwilę na dwór - powiedział. - Muszę coś przemyśleć.

Heidi spostrzegła, że chciał pobyć sam, więc tylko skinęła głową i odłożyła skrzypce. Oczy dziadka pozostawały zamknięte - zasnął, nie czując bólu.

- Muzyka uspokoiła go - powiedziała Jamy. - Kiedy się obudzi, może uda się nam namówić go na trochę mleka.

Była już północ, gdy dziadek obudził się i dziewczęta przyniosły mu mleko.

- Gdzie jest Piotrek? - zapytał z oczami utkwionymi w Heidi.

- Wszedł na dwór pomyśleć - odpowiedziała. - Wiesz, dziadku, zdaje mi się, że coś go trapi. Czy czujesz się trochę lepiej?

- A więc coś go trapi, powiadasz? Tak, tak - odrzekł starzec. - Czuję się znacznie

lepiej. Już najwyższy czas, żeby chłopaka zaczęło coś trapić.

Następnego ranka, kiedy Piotrek zupełnie nieoczekiwanie spytał Heidi, czy wyjdzie za niego za mąż, ta wykrzyknęła zdumiona: - Piotрку, sądzę, że to była ta rzecz, której pragnęłam. To był powód, dla którego chciałam pozostać w Dorfli,

Postanowili urządzić tradycyjne wesele "na drodze", tak aby każdy we wsi mógł wziąć udział w tej pięknej ceremonii. Kiedy zawiadomili o tym dziadka, staruszkowi rozbłysły oczy.

- Musisz wyzdrowieć do wesela
- przykazywała mu Heidi. - Teraz już nie masz powodu do zmartwień. Piotrek będzie się o mnie troszczył, tak jak to ty robiłeś dotąd. Oboje zaś zadbamy o ciebie, najlepiej jak potrafimy. Zaopiekujemy się także kozami, bo chcemy zamieszkać tu w tym domu, skąd zawsze widać góry. Dziadku, będziemy tacy szczęśliwi - ty, Piotrek i ja. Tylko bardzo cię proszę, popraw się do wesela!

- O tak - powiedział dziadek.
- Poprawię się. Założę moje zielone, odświętne ubranie i pomaszuję razem ze wszystkimi. Jakże bym mógł nie być obecny na ślubie mojej dziewczynki? O nie, za nic na świecie! Oczywiście, moja Heidi, twój dziadek poprawi się do wesela.

Tak jak to obiecał, dziadek wstał po tygodniu z łóżka. Skosił trawę na łące, zbierał drzewo i krzątał się po domu, zwawy jak dawniej. Heidi cieszyła się z tego ogromnie. Nic już nie mogło popsuć radości i piękna weselnego dnia.

Na uroczystość przyjechała Klara - Klara, którą Heidi z trudem rozpoznała w dostojnej damie. Jamy wezwała swoją młodszą siostrę, o której tak czule opowiadała, gdy były razem z Heidi w szkole. Siostra miała uczestniczyć w ślubnym orszaku, niosąc wiązkę pszenicy.

Dorfli słynęło ze swych malowniczych zwyczajów. W dniu zaślubin kobiety i mężczyźni ubrali się w najlepsze stroje. Wszędzie mieniły się barwne szale, haftowane różnymi

odcieniami rózu, złota i błękitu. Brygida miała na sobie czerwono_fioletowy szal, a pod nim sztywno ukrochmaloną białą bluzkę z bufiastymi rękawami. Obok niej siedł doktor w czarnym tużurku i białej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem. Chel wystąpił w wysokim czerwonym kapeluszu z orlim piórem.

Orszak weselny poprzedzała orkiestra. Muzykanci grali na fletach, fujarkach i starodawnych lutniach. Orkiestrę prowadził harmonista w czerwonym serdaku.

Za nimi szła panna młoda z policzkami różowymi ze szczęścia. Miała na sobie suknię ślubną z prawdziwego jedwabiu. Wianek z krótkim welonem był jej własnym dziełem. Zrobiła go z kwiatów rosnących w "zaczarowanym ogrodzie". Obok niej siedł Piotrek wyprostowany i przepełniony dumą. Tuż za młodą parą dziadek maszerował tak dziarsko jak pozostali weselnicy.

Jamy prowadziła uczniów ze szkoły w Dorfli śpiewających piękne, stare, ludowe pieśni.

Jakież to było barwne widowisko! Jak radośnie brzmiała muzyka. Tej radoszej nuty nie stłumiły nawet uroczyste kościelne obrzędy. To był niezapomniany dzień. Heidi była rada, że pozostała wierna swej małej społeczności i wróciła do Dorfli i do Piotrka. Przypomniała sobie jeszcze jeden oryginalny weselny zwyczaj i pochyliła się, aby zdjąć bucik.

Dokoła dzieci rzucały kwiatami. Heidi wzięła bucik i starannie mierząc cisnęła go w tłum. Upadł u stóp Chela i wszyscy zaczęli krzyczeć: "Powodzenia Chel! Powodzenia w malowaniu!"

- Dziękuję ci Heidi! - zawołał chłopiec - za to, że rzuciłaś we mnie szczęśliwym bucikiem!

Orszak weselny przeszedł główną ulicą do centralnego placu wioski, gdzie ustawiono stoły. Muzykanci grali nieustrudzenie. Tańczono i śpiewano do późnej nocy.

Heidi i Piotrek wymknęli się wcześniej. W dniu swego ślubu nie

chcieli zrezygnować z możliwości
oglądania zachodu słońca, gdy
śniegi na szczytach zapalają się
purpurowym blaskiem. Patrzyli
razem z dziadkiem, a kiedy zgasł
ostatni słoneczny blask,
staruszek powiedział: - Widzisz,
Heidi, ono blednie tylko po to,
aby pojawić
się znowu jutro.

- To prawda - dodał Piotrek. -
Ale ile by razy nie powracało,
to nigdy nie będzie dnia
szczęśliwszego niż dzisiaj.